№ 4. Warszawa, dnia 15 (27) Stycznia 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

SZCZĘŚCIE.

Są kołyski około których gdy przelata
Anioł szczęścia, uśmiechnie się dziecku sto razy.
Lecz są takie, jak gdyby je więzienna krata
Kryła — smutne, ponure i zimne jak głazy.

* * *

W pierwszych śnią—tego świata zesłane wielkości.
Co mają przejść w koronach lub w laurach przez życie,
I być tryumfatorami bojów, dla ludzkości,
Jako gwiazdy swobody świecić z wysokości.

* * *

W drugich kołyskach znowu, w śnie bez marzeń, łzawym
Spoczywają skazane, by się życie wlekło
Im — niby pracownikom na chleb w pocie krwawym,
Przez ciernie, przez płomienie — huragany w piekło.

Miron.

Nowe pisma.

Antrakt — Echo — Tygodnik Powszechny — Goniec teatralny — Nowiny niedzielne.

Nie podlega wątpliwości, że literatura peryodyczna jest miarą usposobienia umysłowego społeczności której posługuje. Eskimos lub dzicz afrykańska nie mają jej zupełnie, ludy ucywilizowane wydawnictwa peryodyczne liczą na setki i tysiące, a im gdzie więcej życie społeczne rozwinięte, tam każda gmina ma swój organ jako niezbędny środek wzajemnego porozumienia i wyrobienia opinji w danym kierunku. Peryodyczna jednak literatura służąc chwili obecnej, wtedy tylko wiernie spełnia swoje zadanie, jeżeli pilnie obrazuje wszystko co tylko działalności ludzkiej będąc wynikiem, przyczynia się do ogólnego postępu. Nie idzie jednak zatem aby miała być tylko fotografią działalności ludzkiej, owszem przeciwnie jest jej nawet obowiązkiem wykazywać błędy i fałszywe kierunki, oceniać pobudki, przedstawiać właściwe drogi postępowania, wyszukiwać potrzeby naglące, tworzyć środki ich urzeczywistnienia, poddawać je ogólnej rozwadze, słowem być pośrednikiem do porozumienia i przyswajania wszystkiego co może być korzystnem a odstręczenia od szkody gdzieindziej już doświadczonej.

Do spełnienia tego zadania literatura peryodyczna używa różnych środków, żadnym z nich nie pogardza, i czerpie je zarówno w poważnych rozprawach, w badaniach naukowych jak i w literaturze lekkiej, poezyi, powieści i humorystyce. Każdy z nich jest dobry byle główny cel nie był pomijany, pożytek ogólny tak w materyalnym jak moralnym rozwoju społecznym. Gdy z nim ręka w rękę postępuje godna uznania i poparcia, gdy przeciwnie marnuje czas, obałamuca, wykrzywia pojęcia i napawa je jadem zepsucia, opinia publiczna organa dopuszczające się tej krzywdy winna upamiętać lub skazać na zatracenie. Szczepienie bowiem jadu jakkolwiek nie zaraz sprowadza chorobę, następstwo jej robi nieuchronnem, a w tenczas cały organizm cierpi i drogo przypłaca swoją nieoględność. Każdy więc w poczuciu swojej godności i dobrze zrozumianego własnego interesu, na wyrabianie tej opinji wpływać winien i odstręczać czytelników od pisma, dopuszczającego się tej krzywdy. Zadanie to nie łatwe: fałsz wyrosły z samolubstwa odrzucającego wszelkie względy krępując jego bezecne chucie, zawsze przybiera pozory dobra, prawdy, sprawiedliwości i tak zręcznie obraca się i wślizga w pojęcia czytelników, że nigdy z główną myślą nie występując, wyrabia jednak w nich przekonania jakich pragnie rozszerzenia. Wpływowi temu ulegają wprawdzie umysły bierne ale tych każda społeczność więcej liczy jak czynnych.

O ile prasa peryodyczna nasza spełnia obowiązki do niej przywiązane lub od nich odstępuje, nad tem nie będziemy się dziś zastanawiali. W każdym razie rozwój jej niepomierny od przeszło dziesiątka lat świadczy wymownie, że zamiłowanie czytania u nas wzrasta i że potrzeba posiadania pism peryodycznych wzmogła się nawet tam, gdzie dotąd kalendarz pierwszy lepszy byle tani był wszystkiem. Zasługa to wielka i tej jej nie zaprzeczamy: jest to owoc usiłowań społecznych przedtem długie lata praktykowanych zanim plon dojrzał na pociechę ogólną. Czy jednak rozwój ten prasy peryodycznej u nas jest prawidłowy, czy nawet do pewnego stopnia zamiast pożytku nie przynosi szkody? Każdy organ świeżo powstający, jeżeli służbę swą zapowiada nowej jakiej idei, jakiej wykrytej przez siebie potrzebie społecznej, lub dopełnienie tego co przez inne organa bywa pomijane, taki bez zaprzeczenia jest pożądany i wiernie spełniający swoje zadanie przynosi ogółowi pożytek. Organ zaś będący już tylko prostem naśladowníctwem innego w tym samym kierunku pracującego pisma, tymbardziej, jeżeli ten kierunek nie przedstawia zbyt wielkiej liczby czytelników, jest niczem więcej tylko konkurencyą, czyli pragnieniem wydarcia zysku jaki inny odnosi. Zdanie ogólne konkurencyą takową uważa za pożyteczną w każdym przemyśle a więc i w wydawnictwie literatury peryodycznej: ma to wpływać na energią przedsiębierców a tem samem i na podniesienie wartości wyrobów przez nich przyspasabianych. Jest tak rzeczywiście, ale tylko do pewnego stopnia. W społecznościach cieszących się wielką zamożnością, w których do każdego przedsięwzięcia przystępują tylko ze znacznemi kapitałami, tam konkurencya taka jest zbawienna. Zysk choć mniejszy nie rujnuje współzawodników, strata nie zgnębia

ostatecznie, a publiczność odnosi rzeczywistą korzyść, bo obrotniejszy musi się starać przedawać swój towar w warunkach najdogodniejszych dla kupujących. Inaczej się rzecz ma z nami. Kapitały u nas są prawie niedziałające, posiadacze ich przekładają niewielki z nich procent lecz pewny, nad nadzieje najświetniejsze połączone z rozlicznemi kłopotami wszystko narażającemi na stratę. Do przedsięwzięć też prawie wszelkich przemysłowych przystępują u nas ludzie z małemi niezmiernie kapitalikami, z których żyć nie mogąc wyłącznie, oddają je na chybił trafił w nadziei jeżeli niezbyt świetnych korzyści, to przynajmniej możności dość znośnego utrzymania życia. Taki też przedsiębierca grzebie się jak może, niedosypia, niedojada, suszy głowę, trapi się, zapobiega, wprowadza ulepszenia, i kiedy wreszcie zaczyna czuć grunt pod nogami dający mu jaką taką pewność że się na nim usadowi, przychodzi konkurent i wszelkiemi sposobami stara się mu zabrać nie część odnoszonych korzyści ale wszystkie, bo i on równym mu biedakiem, potrzebującym życia, a tu korzyść nie tak wielka aby w podziale mogła dla obu wystarczyć. Na podobnej walce dwóch przedsiębierców równie biednych jak żądnych zarobków, co może zyskać publiczność? Jeżeli jeden pokonawszy drugiego pozostanie jeszcze przy jakich takich siłach, i znowu zacznie się grzebać, długo musi łatać szczerby aby się utrwalić w swym rozwoju, aby bez obawy mógł wytrzymać co chwila mogącą się znowu zjawić konkurencyą. A jest ona wszędzie na zawołanie, zawistnych nigdy nie brakuje.

Wszystko to odbywa się z pismami peryodycznemi.

Rok bieżący obdarzył nas kilku nowemi, w liczbie dość okaźnej. Najpierwszy *Antrakt* w końcu roku zeszłego powstały, odrazu skazany na przeróżne przypadłości żywot swój przeciągnął na rok bieżący i jest nadzieja że go utrwali i na dalsze lata czego mu z serca życzymy. Pismo to jak sam tytuł wskazuje, ma posługiwać przelotnej niezmiernie chwili gdy z czasem nie mamy co zrobić a nudzić się nie chcemy: np. w teatrze między antraktami, w czasie obiadu pomiędzy potrawami, przy czarnej kawie, przed drzemką poobiednią lub wreszcie przed ostatecznym nocnym spoczynkiem. Są to wszystko chwile nie nadające się wcale do poważnego myślenia, pismo więc dla nich przeznaczone powinno mieć lekkość, swobodę niemałym zaprawione dowcipem i być niejako kuryerem z całego świata, podającym wszystko co ciekawsze, zabawniejsze a jednak zasługujące na upowszechnienie. Antrakt trzyma się tej drogi ale za nadto zanurzył się w teatralnej sferze wszystkich stolic całego niemal świata i darzy nas często wiadomostkami bez żadnego interesu, przy których czytaniu już w drugiej połowie zapomina się co w pierwszej się mieściło. Co nas bowiem może np. obchodzić, że panna, pani lub pan X, debiutowali tu z powodzeniem a tam bez niego; że teatr jeden zamówił tych artystów a drugi innych; że tu mają takie a takie komedye lub dramata przedstawiać albo śpiewać nowe opery nieznanych autorów; że rywalka margrabiny Caux, p. Nilson wystąpiła w Wiedniu w dworskiej operze; że w Neapolu do libreta Franka Marschal, p. Rossi napisał muzykę, że na koncercie Pasdeloup występowały panie Albani, Peschampsi i Ritter, że w teatrze weneckim śpiewano z powodzeniem Hamleta a występowały w nim panna Moissot i baryton Graziani. Wszystkie podobne wiadomości podane krótko po kronikarsku, sucho i zwięźle, nie mogą obudzać najmniejszego zajęcia. Dobre są one w danych miejscowościach, ale dla nas aby zainteresowały, muszą być więcej rozwinięte pewnemi dodatkami usprawiedliwiającymi ich ogłoszenie.

Artykulików z zachowaniem tego warunku nie brakuje także w Antrakcie, ale barwą zajęcia powinny zalecać się wszystkie bez żadnego wyjątku, jeżeli pismo to pragnie zupełnie odpowiedzieć swemu zadaniu. A nie jest ono tak mało znaczące, dobrze redagowane posłuży do pożytecznego zużycia czasu przedtem na niczem marnowanego, dobrze więc że czytelnik dowie się o tem, o czemby inną drogą nie dowiedział się może. Powstanie więc Antraktu jest zupełnie usprawiedliwione, wynalazł on nową chwilę w społecznem życiu której pragnie posługiwać, niech więc pracuje dla niej z pożytkiem, ale niech nie wchodzi w drogę Kuryerom tutejszym bo wtedy stanie się ni tem ni owem i nie odpowie swemu przeznaczeniu. Pismo które pragnie bytu, musi posiadać do niego prawo, a tém prawem nic być innego nie może tylko odrębność wyróżniająca go z pomiędzy innych. Upadłe dwa pisma Opiekun domowy i Ognisko, najlepszym tego dowodem. Były one tylko naśladownictwem pism jednych, drugich niejako przedrzeźnianiem, a nie świeciły żadną nową ideą utrzymać się więc nie mogły. Tego smutnego następstwa może się spodziewać każde wydawnictwo idące w ich ślady.

Niech zatem Antrakt stanie się Kuryerem z całego świata, ale nie wyłącznie naszego stołecznego grodu, niech pilnuje spraw naszych teatrów, niech podaje wiadomości umiejętnie wybrane ze wszystkich zakątków ziemi a liczba prenumeratów z pewnością zwiększać się będzie.

(*d. n.*)

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

To mówiąc wzięła podaną rękę i poszła do gabinetu. Po drodze Marysia śmiejąc się odezwała do Tekli, iż ma naradę prawną z Mecenasem.

Dziwna rzecz, konferencya ta trwała przeszło godzinę, Marysia wyszła zapłakana a niezmiernie wesoła, Mecenas wzruszony, blady i — jakby zawstydzony, prowadził ją pod rękę.

Zbliżył się do panny Tekli i szepnął:

— Nie śmiejcie się ze mnie, proszę — wskazał na Marysię, której białe ząbki widać było — nie śmiejcie się przez litość! Moja narzeczona... panna Maryanna Rzepczakówna...

I — drapnął.

Żywaczyńska, która, odmawiając zdrowaśki na intencyę swego swatowstwa, stała pono za drzwiami — wbiegła, plaskając w ręce, i wprost rzuciła się na Marysię, która — niewiadomo czy z radości czy ze wzruszenia — mocno płakać zaczęła.

Wypadek ten — zupełnie niespodziany, wszystkim szyki pomieszał. Rzepczakówna, niby szczęśliwa, chodziła ciągle dziwnie poruszona — nie swoja, naprzemiany się trzpiocząc i pogrążając w myślach... Mecenas niby odmłodniał — zapominał się, przysiadał przy narzeczonej, nosił prezenta kosztowniejsze coraz, a strasznie niesmaczne, bo gustu nie miał, przed Żywaczyńską zaś desperował i wymawiał jej że go do tego kroku doprowadziła.

Słowem, nie mógł się jeszcze jakoś tak ze swojem nowem szczęściem oswoić, iż prosił naprzód aby pozostało tajemnicą dla wszystkich, a potem odłożył ślub na sześć miesięcy. Potrzebował, jak mówił, interesa uporządkować, w domu się urządzić i uwolniwszy od najpilniejszych spraw, z młodą żoną po zaślubinach zaraz wyjechać zagranicę. Zdawało mu się, że w ten sposób ludziom znikając z oczów, da się im wygadać, wyśmiać, a za powrotem mniej na szyderstwa będzie narażony.

Mecenas czuł to dobrze, iż małżeństwa tego rodzaju jak jego musiały żartownisiom dostarczać materyi do plotek i dowcipów — a jednak, ten jesienny uśmiech słońca — silniejszym był nad wszelkie rozumowania. Wiedział że się śmiesznym stanie, że może nawet zawodem przypłacić marzenie którego uległ urokowi — a jednak, oprzeć się nie mógł pokusie.

Łajał siebie pocichu, gniewał się, ale już nie cofał. Żeby zaś nie módz nawet cofnąć, nazajutrz zaraz poszedł do Rzepczaka i oświadczył mu się o rękę córki.

Jakkolwiek partya była świetna, ale ojciec dosyć kwaśno przyjął to wielkie szczęście, i zimno podziękował przyszłemu zięciowi. Kochał dziecko po swojemu, nie miło mu było że Maryś na swojem nie postawiła — a szła za „rudą perukę.“

— Wolałbym — szeptał sam do siebie, żeby się to wielkie szczęście rozchwiało... Dziewczyna sobie kamień wiąże do szyi...!

Pięknego jesiennego wieczora, już o zmierzchu, mieszkańcy Długiej ulicy, których jakoś w tej chwili nie wielu się przechadzało — zaciekawieni zostali niezmiernie dziwnym orszakiem, który się z bramy jednego domu wytoczył. Było to dosyć liczne towarzystwo, postrojonych jak do wesela osób, z bukietami u sukien i fraków, wiodących w pośrodku piękną, młodziuchną, w wianku i zasłonie białej dzieweczkę.

Szła ze spuszczonemi w dół oczyma, zbladła trochę, przelękła, chwiejąc się i postępując krok za krokiem, stawała spotykając przechodniów prosząc ich o błogosławieństwo.

Pierwszym, którego niedaleko od bramy spotkała, był staruszek o kiju z głową siwą, ubogi znać mieszczanin w kapocie. Ten zdjął czapkę, niezrozumiał zrazu o co chodziło, a potem, mocno poruszony, bo mu tu stracone przypomniało dziecię, drżąc i płacząc — błogosławił.

Orszak już dalej wyruszył, a mieszczanin, ocierając łzy stał długo, nie mogąc się uspokoić. Los zdawał się czynić igraszkę z biednej panny młodej, nastręczając jej osoby wszelkich stanów. Zaraz po staruszku, niosąca wodę kucharka, dosyć brudna musiała też błogosławić. Dalej nadchodząca wytwornie ubrana pani, już uciekała z trotuaru, gdy ją zmuszono do szybkiego i niezrozumiałego z przestrachem niemal rzuconego życzenia szczęścia.

Od mieszkania do kościoła nie było tak bardzo daleko, ale orszak, co chwila się zatrzymujący, postępował powoli, a tymczasem zjawiały się figury coraz nowe, z których jednak wiele pierzchało. Bliżej już Dominikanów, średniego wieku pani idącej z kamerdynerem, zastąpiono też... w początku nie mogła zrozumieć o co chodziło, potem cicho jakoś, i ze wzruszeniem wielkiem dała pannie Tekli swe błogosławieństwo i uścisk w dodatku. Oczy Marysi ze szczególną bacznością zwróciły się na piękną,

arystokratyczną postać nieznajomej, która z widocznem uczuciem odeszła od Tekli.

U samych prawie wrót kościoła znalazł się dziwacznie ubrany jegomość w popielatym staroświeckim fraku i jasnym kapeluszu, który zamiast błogosławieństwa zaczął prawić komplementa.

Był to emeryt artysta teatralny, człek wesoły, który korzystając z okoliczności, przyłączył się do ślubnego orszaku.

Najsmutniejszy jednak obowiązek czekał pannę młodą we drzwiach kościelnych, w których mnóstwo siedziało żebraków zabrukanych i odrażających. Panna Tekla byłaby może zapomniała o danem słowie i pominęła ich nieliczącza ludzi, gdyby Mecenas idący obok nie przypomniał jej, że ci mieli prawo błogosławienia sierocie. Zarazem też w rękę jej wcisnął Borusławski kilkanaście przygotowanych złotówek, aby niemi tych błogosławiących obdarzyć mogła. W orszaku panny młodej osoby niektóre, szczególniej pani z Villamarinich i sam Filipowicz, oponować chciały przeciwko temu kłanianiu się dziadom, ale Mecenas wstrzymał zapędy... i panna Tekla poszła po kolei babkom i żebrakom uchylić czoło. Zapewne nie po raz pierwszy musiało się to trafiać biedakom (bo i do chrztu częstokroć u nas używano dziadów), babki też bardzo ochotnie i z łatwą wymową wywiązały się z benedykcyi... Dziadowie do których zwróciła się na ostatku, mruczeli coś niewyraźnie tylko, z wyjątkiem owego obrzydliwego na czółenkach, który, jak utrzymywała Żywaczyńska, znajomy był z Borusławskim. Ten podniósł wysoko ręce, oczy mu jakoś dziwnie słupem stanęły... ale słowa nie mogąc wymówić — rozpłakał się.

Przytomny Mecenas wytłomaczył to zaraz, po części chorobą a w części wspomnieniami kaleki, który niegdyś miał rodzinę.

Głos jego, gdy chciał kilka słów potem wymówić, tak był łkania i wzruszenia pełnym, że mimowolnie panna Tekla zadrżała, zabolała, resztę złotówek rzuciła mu w miseczkę i zwróciła się do kościoła...

Tu już słychać było brzmiące organy i ksiądz u wielkiego ołtarza oczekiwał na nowożeńców. Marysia szła nieco roztargniona razem z innemi, zajęta więcej może niż Tekla, odgadywaniem tego kogoś nieznajomego, dla którego panna Tekla musiała przebyć tak przykrą drogę od domu. Niestety — żadna z osób spotkanych wyjąwszy panią z kamerdynerem, rysów i postawy arystokratycznej, nie mogła posądzić. Mniemanie było tak powszechne iż Teklunia pochodziła z jakiejś znakomitej rodziny, z tą myślą tak długo żyli wszyscy, że ona i teraz służyła Marysi nawet za kryteryum. Wielka ta pani była mocno poruszoną, ale był nim też i ów stary mieszczanin, spotkany w progu domu, który się aż rozpłakał.

Ciekawa Rzepczakówna, zważywszy wszystko, musiała sobie przyznać po cichu, że przypuszczenie jej było fałszywe. Jakoś i ta nieznajoma nie bardzo jej przypadała do smaku.

W kościele było ciekawością ściągnionych kilkanaście osób — między nimi więc oczyma szukała jeszcze Marysia tajemniczych istot opiekuńczych — a i tu ich wyszukać nie mogła. Choć sama uroczysta przysięga u ołtarza na życie całe, najzimniejszego przejąć musi człowieka, najobojętniejszą kobietę porusza i przeraża — Tekla przebywszy ten ciężki pochód — uczuła się jakby wyswobodzoną gdy stanęła z Emilem przed staruszkiem, który miał im pobłogosławić.

Łzy jej jeszcze płynęły po twarzy, drżała pod wrażeniem tej myśli, którą jej podrzuciła przyjaciołka... czuła że może się przesunął gdzieś przed nią cień tej istoty tajemniczej, która czuwała nad nią od kolebki... Lecz, nie probowała nawet odgadnąć. serce jej od wyjścia z domu, aż do zatrzymania się przy ołtarzu, biło ciągle równą trwogą i czuciem. .

Mecenas, który się nieco cofnął i stanął jakby przypadkiem obok panny Maryanny, szepnął jej także nie bez oznaki pewnego wzruszenia.

— A nie strach pannie Maryannie, myśląc że za kilka miesięcy przyjdzie jej tak stanąć z tą peruką u tego ołtarza?

Rzepczakówna schyliła się ku niemu.

— Choćby i dzisiaj — rzekła głosem drżącym.

Borusławski rękę jej ścisnął.

Ślub odbył się jakoś bardzo prędko, państwo młodzi pomodlili się i tym razem już na nich powozy czekały, mające zawieść wprost do domu pana młodego.

Uproszona dla przygotowania przyjęcia gości, stara Żywaczyńska musiała się nawet wyrzec bardzo zawsze dla niej ciekawego obrzędu... i krzątała się około nowego gospodarstwa, strojna w nowy czepeczek i suknię jedwabną.

U wyjścia jeszcze chór dziadów i babek nowemi życzeniami i błogosławieństwy obsypał państwa młodych... którzy go teraz prędzej pominąć mogli. Mecenas tylko ze swojemi znajomemi uśmiechem i dobrem słowem się witał — czemu się nikt nie dziwił. Zwrócił się szczególniej do swojego przyjaciela na czółenkach, który znać z wdzięczności, pochwycił go za połę od fraka i zaczął ją całować, tak że ledwie mu się mógł wyrwać.

Radzca Hustakiewicz w wice-mundurze z orderami, profesor Dygasiński w białej kamizelce, pani z Villamarinich w przepysznej sukni cytrynowej, Filipowicz z ogromnym pierścieniem na palcu, który kładł tylko na wielkie uroczystości, wszystko się to potoczyło za Jerozolimską rogatkę. W pochodzie i powrocie naturalnie na widzach ulicznych nie zbywało, jest ich zawsze poddostatkiem na każdem weselu i pogrzebie. Stosunkowo ludzie najmniej są może chrzcin ciekawi. Nowy obywatel przybywający na świat, aby drugich objadał, obudza bardzo niemiłe uczucie — jest to niepotrzebna nikomu konkurencya... nabawiająca strachem. Jedni rodzice się cieszą — i to, nie zawsze.

Emil nie myślał wcale występować wspaniale, zawczasu się umówili z Teklą, że nie będą się starali fałszywym blaskiem świecić w oczach ludzi obojętnych. Przyjęcie więc było dostatnie ale skromne... i pani z Villamarinich a nawet administrator, praktykujący oszczędność w domu, znajdowali — że można było w dzień wesela zebrać się na wspanialszą wieczerzę i cukry.

Marysia tego dnia rozstając się z przyjaciołką gdyż miała do ojca powrócić i zamieszkać u niego do wesela — była bardzo smutną, choć Borusławski nie opuszczał jej na chwilę.

Filipowicz jedną rękę tylko tego dnia trzymający pod frakiem, gdyż na drugiej błyszczał pierścień z którym czuł potrzebę się popisać — pocichu szepnął dostojnej małżonce, że w ulicy przed kościołem dostrzegł Ciocię Baronowę i jej siostrzeńca pana Rabsztyńskiego, przypatrujących się zdala złośliwemi oczyma, państwu młodym.

Nieszczęśliwemu Rabsztyńskiemu tak się nie wiodło, że już od chwili jak go odprawiła panna Tekla, dwie inne panny posażne, wyzuły się z nadziei opłacenia długów i utrzymania się przy ziemi przodków... przyszłość na bruku coraz dobitniej ukazywała się na horyzoncie.

Pięć lat upłynęło od opisanych wypadków, w mieszkaniu za rogatką Jerozolimską, śmiały się dwie rumiane tłuściuchne twarzyczki Edzia i Misi.

Emil miał już znaczniejszą daleko pensyę i wyższe stanowisko, Tekla była szczęśliwą — a zawsze jednak owa tajemnica nieprzebita osłaniała jej pochodzenie. Nie wspominała już o niej, aby chmurą nie powlekać czoła mężowskiego, bo i Emil, dla żony szczególniej, bolał nad tem. Starali się nieraz oboje wymódz na Mecenasie, aby im odkrył sekret który on wiedział tylko jeden. Borusławski z wielką powagą, odpowiadał:

— Nie mogę, związany jestem przysięgą.

Co kwartał przynosił regularnie naznaczoną dla Tekli sumę, wypłacał ją, brał pokwitowanie, przynosił dla dzieci podarki z tego samego płynące źródła, ale uparcie milczał.

Tak jak było umówiono, i w dniu naznaczonym, Marysia z panem Mecenasem stanęła przed ołtarzem. Ślub odbył się przy drzwiach zamkniętych, przy uproszonych tylko kilku świadkach, a niemal wprost z kościoła państwo młodzi wyjechali na parę miesięcy za granicę. Maryś powróciła z tej podróży wesoła, zachwycona tem co widziała, uszczęśliwiona Borusławskim, na którego gderała i rozrządzała nim, jakby nie wiem wiele lat żyli z sobą, trochę na twarzy postarzała, lecz na umyśle odmłodzona. Mecenas zmienił się na najczulszy w świecie pantofel. Był nim dobrowolnie, a kochał się w żonie ze śmiesznym czasem entuzyazmem. Małżeństwo wesołe było, raźne i daleko lepiej dobrane niżby się zdawało komu. W niespełna dwa lata pani Mecenasowa cieszyła się córeczką, którą psuła i pieściła tak, że przyszłość jej okrutnie dawała do myślenia — co to z tego wyrośnie. Mecenas pomagał a mała Teklunia, despotycznie rozporządzała domem całym. Pani Emilowa obawiała się nawet przykładu jej dla swych dzieci, które wychowywała z miłością wielką, ale nie rozpieszczając ich do zbytku.

Pani Żywaczyńska zajmowała u państwa Borusławskich teraz nader ważne stanowisko, vice-gospodyni, bo Maryś albo była zajęta Teklunią, albo mężem lub książką, i nie pracowała bardzo. Mówiła śmiejąc się przy mężu, głaszcząc go pod brodę, że chce sobie wynagrodzić te lata, kiedy brała szturchańce i tłukła talerze.

Ze starym Rzepczakiem, jakkolwiek niezłym człowiekiem, Mecenasowa biedy dosyć miała. Naprzód o włos że się nie ożenił z dziewczyną, która w szynku służyła, a wcale nie zasługiwała na wyniesienie jej do dostojności pani Restauratorowej. Potem jakoś z rozpaczy począł się napijać, a pijąc lubił kłócić, a kłócąc zaraz rwał do popierania słów argumentami pięściowemi, co często interwencyę policyi sprowadzało. Musiano go więc wyprawić na świeże powietrze, między spokojniejszych ludzi i Rzepczak trzymał restauracyę i hotel w Siedlcach. Tam stanąwszy odrazu na nieco wyższem stanowisku, zmuszony był się szanować. Marysia jednak nie jedną łzę z jego przyczyny wylać musiała.

Był to wieczór jesienny właśnie i Tekla zajęta swojemi dziećmi, w saloniku z nimi siedziała o szarej godzinie, gdy około okna w przechodzącej dorożce na którą spojrzała — poznała wychylonego Mecenasa. Bywał on u nich dosyć często — ale zwykle z żoną, sam rzadziej. W dorożce nie dojrzawszy Marysi, Tekla wybiegła do przedpokoju niespokojna trochę, aby się o nią zapytać. Emila nie było w domu, pilna robota wstrzymywała go tego dnia w kancelaryi, tak że nawet na herbatę nie obiecywał powrócić.

Wchodzący Borusławski miał tak smutną twarz,

iż Tekla nań spojrzawszy, tem więcej się o przyjaciółkę zaniepokoiła.

— A Marysia? odezwała się od progu.

— Zdrowa, dziękuję pani — została w domu... Przybyłem za interesem. Jest pan Emil?

— Emila nie ma wróci chyba późno — mają jakąś rewizyę kas i rachunków...

— Czy interes do Emila? dołożyła po chwili zdziwiona nieco Tekla...

— Interes — a! zaraz powiem... (to mówiąc niespokojnie spojrzał Mecenas na zegarek), odpraw pani dzieci — mamy do pomówienia z sobą.

Borusławskiego postać i mowa mogły prawie przestraszyć, tak był poruszony. Wszedłszy do saloniku siadł na kanapie, ujął za rękę panią Emilową, spojrzał czule na nią... i odezwał się z pewnem wahaniem.

— Przybyłem do pani! Racz mnie posłuchać z uwagą, mam jej do opowiedzenia wiele, a czas jest bardzo krótki.

— Mów pan, proszę — cicho odezwała się Tekla.

— Miej pani męztwo — dodał Mecenas — a słuchaj mnie z uwagą.

Chwilę podparłszy się milczał, namyślając i rozpoczął powoli, jakby długo ważone i układane opowiadanie.

— Słyszałaś pani zapewne, że młodość moja nie zbiegła mi na pracy prawniczej, że żyłem długo na wsi, miałem znaczny majątek, straciłem go wesoło, i gdy mi tak jak nic nie zostawało, wróciłem na drogę lepszą, na którą żem wpadł dziękuję Opatrzności, co mnie na nią przez manowce zaprowadziła.

W tych to czasach, sąsiadem moim o miedzę był pan Cześnikowicz Zaleski, wielki mój przyjaciel, u którego niemal codziennie bywałem. Najzacniejszy z ludzi płochym był jak ja. Polowaliśmy, grali, pili i hulali razem. Cześnikowicz miał przy sobie ubogiego szlachetkę, z którym razem chodzili do szkół, poczciwe chłopię, ale gorączkę i dziwaka. Ten uczyć się nigdy nie chciał, ale przy Zaleskim pełnił dziwną funkcyę kamerdynera, leśniczego, przyjaciela... faktotum... Kochaliśmy wszyscy tego Wojciecha, a choć nam na trzpiotowstwie nie zbywało, on nas wszystkich przechodził w szałach... Zuchwały był i niepomiarkowany... zapalczywy... a niepodobna się było nie przywiązać do niego. Pełen wad miał razem tyle przymiotów, i tak coś w sobie sympatycznego, że wcale oprzeć się mu nie było można. Robił z nami co chciał — ale kierował panem i przyjacielem jego po swojemu. Szaloną był pałką. Szliśmy wszyscy pędem do ruiny. Ja pierwszy straciłem majątek i musiałem myśleć o sobie, Zaleski się trzymał niedługo, a gdy godzina wybiła, zgryzł się tak że zachorował i umarł. Nie mógł przeżyć ruiny, którą dawno przewidywać był powinien. Wojciech do ostatniej godziny został przy nim, zaraził się gorączką, przeleżał bez nadziei wyzdrowienia długo, a gdy wstał z łoża... nie miał tylko to co na grzbiecie i żadnego do życia sposobu przy nawyknieniu do zbytku.

(d.n.)

Do pani K. Ł.

Ofiarując jej kopię Madonny Rafaela.

Natchniona mistrza dłoń
Ideał Matki tworzy...
Miłości promień Boży
Na czystą spływa skroń,

A życia cel jedyny
To istność tej dzieciny
Co się przytula doń!..

* * *

Wzór ten — w obec swych dziatek
Zwalczając trud i znój,
Odtwarzasz zacna Pani!
Więc ja Ci niosę w dani
Najlepsza z ziemskich matek,
Ten hołd serdeczny mój!

Graz 1875 r. *Marya Szeliga.*

Korespondencya z Monachium.

Uroczystość ludowa w Monachium, na „Łące Teresy“. — Szpady Damoklesa wiszące nad głowami Monachijczyków. — Traumvaye. — Wystawa wachlarzy. — Kongres kobiet w Frankfurcie nad Menem. — Kongres ekonomistów w Bremie. — Kongres przyrodników i doktorów w Hamburgu. — Kongres antropologów w Jena; brunetki i blondynki w obec nauki. — Kongres w Bremie obradujący „o ulepszeniu i uświęceniu praw przysługujących narodom i jednostkom“. — Dziełko Kleina p. t. *„Położenie ekonomiczne Niemiec i środki zaradcze.* — Nauczanie artystyczne w szkołach i gimnazyach. Berstein'a: *Siły przyrody i władze umysłowe.* — Karola Schonburg'a. *Jan Elmer* romans tendencyjny — Berlińska Wystawa Obrazów. — *La petite marieé* Lecoq'a w teatrze wiedeńskim. — Wagner i teatr w Bayreuth.

(Dokończenie).

W Prusach położenie ekonomiczne jest ciągle bardzo naprężone. Niedawno czytałem w tym przedmiocie bardzo pouczające dziełko, napisane przez Wilhelma Klein. Nie będąc pesymistą, autor przekłada niemieckim czytelnikom, że aż nadto już czas zacząć oddziaływać przeciw takiemu stanowi rzeczy i czynnie przyłożyć rękę do dzieła, jeśli się chce groźnych uniknąć katastrof. Klein bardzo głęboko wnika w przyczyny złego. A jednak nie jest on jednym z tych zaciętych krytyków, z tych burzycieli z zamiłowania, co wszystko niszczą nie przedstawiając nic na miejsce tego co zburzyli. Wykazuje dotykalnie powody handlowego i przemysłowego przesilenia jakie dotknęło Niemcy, i co więcej podaje środki ratunku. Potępia słusznie szkodliwy szał spekulacyi, zbyt forsowną produkcyę przemysłową nie obliczającą możności zbytu; nie zwalcza jednak i nie potępia bezwzględnie samego ducha spekulacyi, ale sposób w jaki go wykonywają. Niech wielkie kapitały rzucają się w zuchwałe i ryzykowane przedsięwzięcia — mniejsza o to; ale spekulacya staje się narzędziem największej demoralizacyi, jeśli wciąga oszczędności biednych ludzi; gdy przynętą łatwych zysków bez pracy i trudu, zniechęca wyrobników i rzemieślników do skromnego i pracowitego życia i zaszczepia w nich zarazę gry giełdowej. Oto co koniecznie sprowadza zepsucie obyczajów. Klein jest przekonany, że gdyby rozpowszechniono w narodzie znajomość praw i prawd ekonomicznych, uorganizowano lepszy systemat kredytu i wpojono w klasy robotnicze zamiłowanie oszczędności, dałoby to jak najzbawienniejsze rezultata. W tym celu doradza urządzenie banków szkockich, które już tak wielkie usługi, oddały Szwecyi. Nie poprzestając na tem rozbiera wszelkie możliwe ulepszenia intelektualne, handlowe i przemysłowe i wykazując użyteczność doradza ich zaprowadzenie. Książeczka ta obejmująca tylko 200 stronic, powinnaby stanowić „*vade mecum*“ wszystkich rozsądnych, pragnących się oświecić i poprawić swój los. Całe dziełko jest nader moralne, gdyż na każdej niemal stronnicy autor jej zaleca pracę i oszczędność.

Obecnie wiele zajmują się w Niemczech myślą nadania nauczaniu dzieci i młodzieży więcej artystycznej dążności; była nawet mowa o wprowadzeniu do programów szkolnych i gimnazyalnych, historyi sztuki. Starzy profesorowie, przejęci zasadą że dawne metody są najlepsze, opierają się tej nowości, jako mającej spaczyć edukacyę młodzieży, ale światłe umysły walczą i zbijają ich dowodzenia.

„Jest to, mówią oni, niezaprzeczoną zasadą pedagogiczną, że celem edukacyi jest rozwijanie wszystkich władz umysłowych. Najgłówniejszemi z tych władz są: rozum, uczucie i wola, a odpowiadają im, logika, estetyka i moralność, prawda, dobro i piękno. Rozum odbiera zadość uczynienie przez udzielanie w szkołach nauk których podstawą jest rozumowanie. Moralności naucza religia, filozofia, historya, literatura i t. d. ale estetyka jest najwięcej zaniedbana ze wszystkich władz umysłowych. Niedorzeczna zasada że „o gustach i kolorach nie można dysputować“ dowodzi tylko nieuctwa przeciw któremu należy koniecznie oddziaływać. Z tej wychodząc zasady wszyscy krytycy z delikatnem i doskonałem poczuciem, wszyscy głębocy estetycy, byliby tylko szafarzami słów próżnych i bez żadnego znaczenia. Schiller jeszcze powiedział: „edukacya powinna nauczyć ucznia aby rozumiał wyraz „piękno“ którego używa tak często odnośnie do tysiąca przedmiotów, oraz aby umiał wyrozumować wszystko czego doświadcza i czuje.“

Z innego zapatrując się stanowiska, edukacya artystyczna jest niezaprzeczenie umoralniającą, ztego względu iż przedstawia nadmiarowi ruchliwości i żywości młodzieńczej pewne pole działalności, które inaczej zwróciłyby się do poniżających uciech i rozkoszy.

Trudno zaprzeczyć że nie tylko w Niemczech ale i wszędzie niemal obecnemu pokoleniu młodzieży brak poczucia piękna. Edukacya niemal wyłącznie scientyficzna jaką pobiera, rozwija rozum kosztem uczucia, tam nawet gdzie plan nauk jest niby dobrze obmyślany i ułożony. Ale nie trzeba zapominać że nie sami tylko uczeni są chwałą ludzkości; dzieła Homera, Fidiasza i Rafaela są zarówno nieśmiertelne jak odkrycia Galileusza i Archimedesa. W miarę słabnięcia uczuć religijnych w massach, potrzeba koniecznie ideał ten zastąpić innym, a cóż więcej się ku temu nadaje jeśli nie poczucie piękna? Tu w Niemczech wykładają młodzieży jedną tylko sztukę — poezyę; lecz czyż inne objawy artystycznej wyobraźni nie zasługują także na poznanie i uwielbienie? Grecy mieli pod tym względem daleko wszechstronniejsze od nas poglądy. Arystoteles zalecał młodzieży poznanie mistrzowskich utworów snycerstwa i malarstwa; arcydzieła podobne nie są niższe wartością od najpiękniejszych poematów, nie dość więc obznajomić młodzież z utworami wielkich poetów, potrzeba jeszcze aby znali i umieli ocenić arcydzieła tak genialnych artystów jak np. Michał Anioł i Rafael.

Znany w Niemczech uczony p. Bernstein, wydał dzieło przeważnie filozoficzne które w krótkim czasie doczekało się drugiego wydania, p. t. *„Siły przyrody i władze umysłowe“*. Autor zaczyna od tego iż stawia zasadniczą różnicę między wiedzą i znajomością a właściwą nauką, do której zalicza to tylko co się da dowieść matematycznie. Moralność, prawo, sztuka, teologia i t. p. jednem słowem wszystko co nie podlega matematycznemu udowodnieniu, tworzy tylko gałęź „wiadomości“. Ma się rozumieć, iż

jako uczony, autor daje pierwszeństwo nauce ale broni jej często szczególniejszemi teoryami, i tak np. wytworzenie się komuny w Paryżu, przypisuje rozwojowi materyalizmu i próżności, którym się zdaje że wszystko wiedzą i umieją.

Także za ciasne wydają nam się granice jakie autor zakreśla nauce; zdaje się iż tu można zaliczać nie tylko to co może być matematycznie dowiedzionem, ale wszystko co może być zrozumianem. Wszak pewność nie jest wyłącznym przywilejem matematycznych dowodzeń; a uważając z tej strony, znaczna część fizyki nie byłaby nauką. P. Bernstein żąda aby wszystko co nie da się podciągnąć pod te dowody, uznane było za wpływ Boski, za rodzaj objawienia, niepojętej tajemnicy, przed którą rozum winien pochylić czoło i nie probować jej zbadać! Lecz możnaż uważać za nic jeśli w braku poznania samejże istoty rzeczy, poznamy ich rozwój, dzieje i zmiany? Z resztą jakże to już dawno powiedziano: że to co nasz rozum nazywa przyczyną jest tylko ostatnim skutkiem do jakiego mogliśmy dosięgnąć; lecz czyż dla tego że nie możemy zbadać pierwotnej przyczyny, mamy zaprzestać badań dosięgających wszelkich możliwych granic? Zdaje się iż ze wszystkich tegoczesnych dążności żądza wszechnauki najwięcej zasługuje na poszanowanie; nie należy zatem zrażać i odstręczać badaczy, bo ludziom wiele, bardzo wiele jeszcze nauczyć się pozostaje. Po cóż więc zakreślać nauce granice których inteligencya ludzka przekraczać nie powinna? Któż może powiedzieć czy granice te są rzeczywiście nie do przebycia? Gdyby tak z góry oznaczyć krańce po za które inteligencyi sięgnąć nie wolno, większość tegoczesnych odkryć i wynalazków wcaleby nie istniała.

Jednakowoż pomimo iż nie zgadzamy się z niektóremi szczególniej zasadami autora, przyznać musimy iż dzieło jego jest bardzo zajmujące a co więcej bardzo pouczające.

Z lżejszej literatury pojawił się romans podpisany nieznanem nazwiskiem, Karola Schoenburg, p. t. *Jan Elmer*. Jest to tak zwany „romans tendencyjny“ traktujący głównie o kwestyach religijnych i wolności sumienia. Styl, forma, zręczne dramatyzowanie idei abstrakcyjnych, zdradzają wytrawne pióro kryjące się pod pseudonimem. Zadania i trudności społeczne traktowane tu są z głębokim poglądem, położenie i walki jakie staczają się w duszy młodego bohatera między nauką a wiarą, nakreślone z wielką prawdą i talentem, pomimo to nie tłomaczcie go na polskie bo treść dla was byłaby wstrętną. W tutejszych kołach literackich dzieło to wielki zyskało rozgłos.

Teraz słówko o berlińskiej wystawie obrazów. Nie ma dzieł prawdziwie znakomitych a tym mniej genialnym odznaczających się talentem, ale całość przedstawia się nie źle pod względem artystycznym. W dziale, nieco zaniedbanego malarstwa historycznego, odznacza się obraz Beckera, przedstawiający uwieńczenie Ulryka von Hütten, słynnego pisarza poety z epoki Odrodzenia. Rzecz dzieje się w Augsburgu. Hütten w kwiecie wieku i rozwoju sił młodzieńczych, choć wówczas jeszcze nie stanął u szczytu swej sławy, zaszczycony został przez cesarza Maksymiliana najwyższem uznaniem i hołdem jaki może być udziałem poety. Jednak jako bezstronny sprawozdawca winienem nadmienić: że wysoki ten zaszczyt Hütten nietyle zawdzięczał własnej zasłudze, jak raczej protekcyi Konrada von Peutiger, w którego domu poeta ciągle prawie przesiadywał i umiał pozyskać serce pięknej jego córki. Jednakże już wówczas poezye Ulryka von Hütten, a szczególniej jego uszczypliwe satyry na Księcia Würtembergskiego, bardzo były rozpowszechnione; przecież rozgłos jakimi się cieszył zawdzięczał może głównie namiętnemu zamiłowaniu w podróżach, które odbywał nie tylko po Niemczech ale i po innych krajach, i wszędzie zawiązywał stosunki z najpierwszymi znakomitościami ze świata literackiego i artystycznego. Wszystko to razem przyczyniło się do odznaczenia jakiem zaszczycił go cesarz, wieńcząc go złotym wieńcem laurowym i dając pierścień złoty z prawem nauczania poezyi i wymowy we wszystkich szkołach niemieckich. Wielu pisarzy twierdzi, że w tej hojności monarszej kryła się myśl samolubna, gdyż tym sposobem Maksymilian zyskiwał nadwornego poetę który na wszystkie tony wygłaszał jego pochwały, dalej ostre pióro odznaczające się nieporównaną werwą polemistyczną, gotowe zawsze wystąpić w obronie cesarza i cesarstwa.

Ale dość tych wspomnień historycznych, wracajmy do obrazu. P. Becker umiał wybrać właśnie chwilę kiedy Hütten wśród świetnej uroczystości dworskiej, przyjmuje z rąk cesarza złoty wieniec. Trzy główne postacie obrazu są: cesarz, poeta i przyjaciołka jego Konstancya. Cesarz, szlachetna i dumna postać dojrzałego człowieka, pięknie się przedstawia pod bogatym baldachimem, gdzie siedzi na tronie. Hütten, w poważnym stroju, tak różniącym się od wspaniałego ubioru monarchy i uwydatniającym jeszcze jego twarz bladą i energiczną, klęczy na jednem kolanie przed cesarzem. Obok tronu Maksymiliana stoi Konstancya, trzymając na poduszce wieniec mający ozdobić czoło poety: z rozrzewnieniem wpatruje się w młodzieńca. Ileż to tkliwego uczucia w jej oczach! Trzy te, nader wydatne typy męzkiej i kobiecej piękności, nadzwyczaj harmonijną tworzą całość. W głębi stoi tłum dworzan w różnorodnych bogatych strojach, co dozwoliło artyście rozwinąć całą świetność swego pendzla. Prócz tego obraz odznacza się wiernością szczegółów miejscowości i historyi, co połączone daje mu niezaprzeczone pierwszeństwo przed innemi pomieszczonemi na wystawie.

P. Loventhal z Berlina, przedstawił obraz *Papież odwiedzający więźnia*. Mówią że malarz chciał odtworzyć papieża Pawła III odwiedzającego w więzieniu Benvenutego Cellini, chociaż jak dowodzi historya, autentyczność tego faktu jest bardzo podejrzana. Alež malarz nie jest historykiem, wolno mu malować legendy, nie zważając na prawdę historyczną, a w obrazie p. Loventhal'a postacie papieża i więźnia doskonale namalowane.

Nie można pominąć historycznego obrazu p. Bleibtren, przedstawiającego widzenie się Moltke'go z francuzkim jenerałem Wimpfen, nad wieczorem w dzień bitwy pod Sedanem. Wiadomo że Wimpfen przybył do naczelnika sztabu pruskiego, aby się dowiedzieć o warunkach poddania się fortecy. Moltke przedstawiony jest w chwili gdy wymawia owo straszne ultimatum: „rozbrojenie wojska i cała armia odda się w niewolę“! Usłyszawszy to Wimpfen zerwał się z krzesła, a w twarzy jego uwydatnia się wyraźnie gniew i przerażenie. Zimna nieruchomość Moltke'go oraz wyraz mściwego i nieubłaganego tryumfu malujący się w twarzy obecnego przy tej rozmowie Bismarka, zdradza myślącego artystę, obdarzonego rzadkim darem spostrzegawczym. Jedyna paląca się w pokoju świeca, której światło pada na główne postacie, zwiększa jeszcze wrażenie jakie sprawia ten obraz.

Przedstawiona w teatrze wiedeńskim francuzka operetka Lecoq'a *La petite Mariee* pod zmienionym tytułem *Graziella* wielkiem cieszy się powodzeniem; publiczność szalone bije oklaski, niektóre ustępy kilkakrotnie powtarzają. Biedny Wagner! jakże bezmierne oburzenie budzić musi w jego sercu tak wielkie powodzenie, kiedy jego księgi rachunkowe z przedstawień w Bayreuth, wykazują 60,000 marek deficytu. Olbrzymia świątynia poświęcona muzyce przyszłości stoi pustkami, nie umieją jej podtrzymać fanatyczni czciciele nowej religii przyszłości. Mówiono że dyrektor Opery w Wiedniu, miał się umawiać z autorem *Rheingolda* o przedstawienie go w Wiedniu, ale wieść się nie potwierdziła. Prawdopodobniejszą jest pogłoska, że Ludwik król Bawarski, obiecał przyjacielowi, iż każe wystawić utwór jego w swej stolicy, ale dopiero za lat dwa; czyżby mniemał że wtedy już muzyka przyszłości stanie się muzyką teraźniejszości? Ale Wagner nie łatwo się zraża; dowodem że zapowiada już przyszłoroczne przedstawienia tetralogii swej w Bayreuth, po cenie o $^1/_3$ niższej, to jest 100 marek za całe trzy przedstawienia.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

VI.

KARIOLKA. — POŻAR LASU. — WYSPA FRÖSEN.—ANGLICY W NORWEGII.

Z Haparanda znowuż *Thulé* odwiózł nas do Sundswall; wylądowawszy, zwróciliśmy wzrok w kierunku wschodnim, gdzie roztaczają się niezmierzone, mało zwiedzane przez turystów przestrzenie, to jest szwedzkie prowincye Jemtland i Haryedalen. Nieco opodal sterczą szczyty Alp Skandynawskich a poza niemi leży Norwegia ze swemi jakby powykrawanemi wybrzeżami, pełnym rozpadlin gruntem, niezliczonemi fiordami i lodnikami kąpiącemi się w nurtach morskich. Pragnęliśmy dostać się na to morze jak najkrótszą drogą; aby ten cel osiągnąć musieliśmy przebyć cały prawie półwysep skandynawski, w prostym kierunku z Sundswall do Drontheim. Na odbycie tej drogi potrzeba pięć lub sześć dni, w ciągu których mogliśmy rozglądać się po okolicach. Wkraczaliśmy w nieznane przestrzenie, goniąc za czemś nieprzewidzianem, co dziś już tak rzadko podróżnik spotkać może na swej drodze.

Przybywamy nareszcie do krainy tradycyjnych kariolek; wróżki Dekarlii i Haparandy, to tylko ich całkiem wyrodzone potomstwo. Narodowy ten ekwipaż szwedzki, tak wychwalany przez niektórych podróżników a krytykowany przez innych, którym się tu wszyscy posługiwać i poprzestać na nim muszą, do najwyższego stopnia budził naszą ciekawość. Wszedłszy w ulice Sundswallu, wszędzie upatrywaliśmy kariolki. Płonne marzenie! zamiast niej ujrzeliśmy wyciągnięte jak wstęga szyny kolei żelaznej i słupy telegraficzne, powiedziano nam że musimy jeszcze przebyć ze dwadzieścia mil drogi koleją, zanim się spotkamy z kariolką.

Cóż było robić! zamykają nas tedy jakby w drewnianych pudłach, z otworami mającemi przedstawiać okna; są to wagony strasznie pierwotnej budowy, duszne i niewygodne. Westchnęliśmy ciężko; koleją żelazną jedzie się i przebywa, ale nie podróżuje.

Gdy pędzeni parą lecimy lesistem wybrzeżem, słyszymy nieustanne uderzenia siekiery, ogromne sosny chwieją się, pochylają i ciężko upadają w wodę. Ręka ludzka spowodowała ich upadek. Fale rzeki chwytają je w objęcia i przenoszą do małej przystani w której zatrzymują dowcipnie pourządzane zagrodzenia. Tu pnie układają na tratwy, które pęd wody unosi do przemysłowych miast nadbałtyckich, gdzie zamienione w deski, belki lub maszty; przekształcone i wynarodowione, pod najrozmaitszemi pawilonami żeglują po morzu wszechświata.

Przebywamy okolice mało wprawdzie zaludnione, ale wszystkie prawie przesuwające się przed nami miejsca zamieszkałe, są to warsztaty lub fabryki. Można powiedzieć, że Szwedzi kolonizują własny swój kraj; działalność ich przez wieki skierowana na zewnątrz, zwróciła się w głąb własnego kraju i na ojczystej ziemi znalazła pożyteczne pole. Prowincye północne posiadają grunt urodzajny i wspaniałe lasy, których eksploatacyę ułatwiają spławne rzeki, ale mała po znacznych przestrzeniach rozrzucona ludność, nie umiała i nie mogła korzystać z tych nieocenionych skarbów, jakiemi je tak hojnie obdarzyła przyroda. Dziś przybywają tam z Południa gromady pracowników, zapuszczają się śmiało w lasy Północy, wyrąbują ich część tworząc jakby oazy w tych puszczach zieleni i zakładają osady, które zczasem zamienią się w miasta. Fabryki i warsztaty w Topshammar, gdzie kończy się kolej żelazna w Sundswallu, świadczy pochlebnie o działalności tych pożytecznych pionierów. Założyli oni tam prawdziwą kolonię rolników i robotników, która umie sama zaopatrywać swoje potrzeby, wzniosła tu fabryki otoczone uprawnemi polami, wzięła w karby kaskadę czyniąc z niej pokorną służebnicę przemysłu i pracy, zmuszając do użyźniania pól i zasycania wodą fabryk i warsztatów. Członkowie tej kolonii składają dotąd jakby patryarchalne stowarzyszenie i co wieczór zgromadzają się pod wspólnym dachem.

Zawiadowca stacyi kolei, będący zarazem dyrektorem miejscowej poczty i ajentem telegraficznym, mówi dobrze po angielsku i po niemiecku; był tak uprzejmy iż ofiarował nam gościnność u siebie i uwiadomił zarazem, że nie będziemy mogli nigdzie bliżej zanocować, jak o 14 mil z Torpshammar, w miasteczku Ostersund. A do miasta tego, dodał, będzie ze dwadzieścia godzin drogi.

— Czy odbędziemy ją kariolką? zapytałem.

— Tak, kariolką, odpowiedział z uśmiechem; nie mogłem jednak poznać czy uśmiech ten zwiastował powinszowanie... czy groźbę.

Nazajutrz rano, wstawszy i ubrawszy się zbliżyłem się do okna i ujrzałem przed peronem stacyi dwa śmieszne jakieś ni wozy ni powozy, zaprzężone i gotowe do drogi. Tuż obok stało dwóch chłopców, jeden mógł mieć latośm, drugi może dwanaście; z pierwszego rzutu oka poznałem owe tak przez nas pożądane kariolki. Jest to wytwór czysto norwegski, zapożyczony przez sąsiednie prowincye szwedzkie.

Kariolka jest to coś pośredniego między wózkiem, kiszką, tilbury a powozikiem. Umieszczone w niej jest okrągłe siedzenie drewniane na jedną osobę, pokryte, ale niezawsze, cieniutką i twardą poduszką. Ten, niby pierwotny fotel, spoczywa na dwóch kołach. Między siedzeniem a osią, umieszczone są dwa drewniane półkola, mające pretensyę wpływania na złagodzenie trzęsienia. Po za siedzeniem przytwierdzona jest deseczka 30 centymetrów długa a blizko 10 szeroka, z przodu są dwa bardzo długie drążki, między któremi biegnie mały rudawy konik, z rozczochraną grzywą, żywemi oczyma i wystającemi żebrami. Zaprząg jest równie oryginalny jak ekwipaż. Z jednej strony postronek, z drugiej kawał wytartego rzemienia, ale za to chomonto jest z wierzchu ozdobione rzeźbą, pomalowane żywemi barwami: przy niem wisi pęk grelotek. Wdrapujemy się tedy na ten podróżny fotel, walizki i tłomoczki pakują nam koło nóg, mały chłopczyna każdemu z nas podaje lejce, wskakuje na deseczkę po za siedzeniem, przyklęka na niej, ręce opiera na naszych plecach, głowę na ramieniu. Gdyśmy się już usadowili i ułożyli rzeczy, zawołał zcicha *„pre, pre“* było to dla konia jakby czarnoksiężkie zaklęcie; wstrząsnął grzywą i poleciał galopem przez wzgórza, doły i kamienie, a kariolka podskakuje i opada, kreśląc po drodze najdziwaczniejsze zygzaki. Od czasu do czasu towarzysz mój zwracał się do mnie z miną jaką musiał pewnie mieć Montezuma, gdy leżąc na rozpalonych węglach, spoglądał smutnie na towarzysza niedoli Guatimozin'a. I mnie brała chętka odpowiedzieć: „Wszak i ja nie spoczywam na różach.“

Przeprzągi bywają częste, ale kariolki, zaprzęgi i konie wszystkie do siebie podobne. Przybywszy na stacyę, małemu woźnicy, bo rzeczywiście choć my trzymamy lejce, on kieruje jazdą, płacimy umówioną cenę, on ściska nam dłonie i wraca wraz z kariolką na miejsce zamieszkania. Jedziemy dalej. Grunt zaczyna się podwyższać nieznacznie; tu i owdzie widzimy ogromne płaszczyzny a na nich gromadki okrągławych wzgórz, których stopy kąpią się w niezliczonych jeziorach a szczyty przeglądają w ich wód zwierciadle. Wspaniała roślinność wielkiego tej okolicy nadaje uroku; zielonym kobiercem pokrywa gór grzbiety, bukietami drzew wieńczy ich szczyty i potokami zieleni stacza się aż w doliny.

Nagle krajobraz się zmienia, roztaczając przed okiem podróżnika przykry obraz spustoszenia. Gdzie spojrzeć leżą wielkie sterty popiołu, przepalone pnie, poczerniałe korzenie; zniszczony las zasypał grunt swojemi szczątkami. Dojechaliśmy do miejsca w którem miał miejsce jeden z tych tak często tu się przytrafiających wielkich pożarów lasu, stokroć straszniejszych niż w sawanach Far-Westu. Kilkanaście sosen stało jeszcze, ale ich opalone pnie i liście zczerwieniałe od płomienia, nadają im postać widm unoszących się nad polem śmierci. Tu i owdzie sterczą pnie uszkodzone, bezkształtne, powykręcane płomieniami, jakby wijące się z rozpaczy.

Gdy pożar ogarnie łąki Nowego-Świata, pionier może walczyć z niszczącym żywiołem i ratować się podstępem dzikich. W około siebie wyrywa trawy, ogałaca z nich pewną przestrzeń i podłożywszy sam ogień w miejscu najbliżej stykającem się z pożarem, staje w pośrodku zabezpieczonej tym sposobem przestrzeni; naturalnie płomienie biegną w kierunku gdzie wielkie trawy służą im za pastwę, rzucają się naprzeciw zbliżającego się do nich ognia, a rozumny robotnik zostaje bezpieczny w próżnej przestrzeni. Przeciwnie w lasach Północy pożar słucha tylko własnych kaprysów; jeśli niekiedy oszczędzi okolice zbliżone do swej kolebki, to dalej poniesie zniszczenie i zagładę, niezwalczony i nieubłagany rozlewa się jak powódź, pochłania całe lasy, mieszkania i okolice.

W tem, wśród tej widowni spustoszenia, doleciał nas dźwięk grelotek i odgłos wesołych śmiechów; minęły się z nami z jaki tuzin kariolek pędząc jedna za drugą. Zajmujący w nich miejsce rzucają sobie pytania, odpowiedzi, wesołe słówka i dowcipne żarty—karawana ta, to dyliżans szwedzki.

W Szwecyi nie mają innych dyliżansów, tylko sznur kariolek ciągnie się drogą, pod przewodnictwem wysłańca pocztowego. Każda kariolka wywraca się raz lub parę razy na dzień, ale każdy jest na to przygotowany. Koń, nauczony nawyknieniem, staje, inne kariolki idą za jego przykładem. Młodziutki woźnica ogląda zaprząg czy czasem nie jest uszkodzony, podróżnik się podnosi i znów cała karawana rusza galopem.

W Szwecyi we wszystkiem odbija się smętna poezya Północy, tak w charakterze mieszkańców, jakoteż w ich łagodnych, marzących oczach, w ich ludowych baladach, wierzeniach i zabobonach. Kariolka sunęła się drogą, która zdawała się przedłużać w nieskończoność, aż nastał blady zmrok północnych nocy, kiedy wieśniacy szwedzcy wierzą iż do koła nich, w dolinach, w lasach i na jeziorach, pojawia się świat wieszczek oraz złych i dobrych duchów. Widma te nie przerażają ich jak upiory ukazujące się wśród ciemności; ich duchy to dzieci lata i wieczorów; przebywają one na ziemi, w głębi fal wodnych, w pniach brzozowych, a zawsze w blizkości ludzi których namiętności podzielają. Wieśniak co krok spotyka się z nimi. Właściwe Szwecyi przyrodzone fenomena, utwierdzają ludność wiejską w ich łatwowierności. Tu jeziora mają swoje miraże jak piaski Sahary. Błądząc wieczorem po tych nieskończonych wybrzeżach, wieśniak spostrzega dziwne jakieś postacie unoszące się nad powierzchnią wód; w jego oczach wynurzają się z głębi fal jakieś czarodziejskie pałace. Poznaje on w nich mieszkanie *Jungfru*, syreny skandynawskiej z oczami i zachwycającym ale zdradliwym głosem. Kto późnym wieczorem lub w nocy znajduje się w lesie, postrzega fantastyczne jakieś światełka błyskające na polankach i Auny tańczące w promieniach światła księżycowego; słyszy tentent kopyt niewidzialnych koni i przebiegające pędem polowanie Odyna, uganiające się za łosiem na skrzydlatych wierzchowcach. Podczas żniw, zbierając zboże z pola, wieśniak nie zapomina o wielbionych przez przodków bóstwach, których wspomnienie tkwi zawsze w głębi jego serca; zostawia więc na pniu garstkę kłosów mówiąc z pokłonem: „Masz Odynie, weź to dla twoich koni.“ Dziś Szwedzi w ogóle wyznają religię luterską, a jednak zachowali w pamięci dawnych Bogów; uważają ich jako zdetronizowanych pretendentów, których rewolucya jakaś mogłaby z tryumfem wprowadzić znów do Walhalli, przezorność więc nakazuje nie narażać ich sobie.

W tej chwili spostrzegliśmy blade przezroczyste kłęby pary unoszące się zwolna po nad jeziorem i jakby białą szarfą opasujące wzgórza. Mały nasz woźnica staje na deseczce i kładąc mi rękę na ramieniu pokazuje zjawisko mówiąc ze wzruszeniem zdradzającem zarazem ciekawość i pewną obawę: *Elf, elf!* Te słowa jego przypomniały mi jedno z najpoetyczniejszych wierzeń Północy. Zabobonny Skandynawczyk wierzy, iż we mgłach unoszących się wieczorami w lecie po nad wodami, może widzieć i widzi powabne twarze i przezroczyste ciała; wówczas to ukazują mu się Elfy a unoszące się za niemi szaty z mgły utkane, dotykają zaledwie powierzchni nie zakreślając spokoju wód, kreśląc fantastyczne koła jakiegoś powietrznego tańca. Na ich widok, młodzieniec uczuwa gwałtowną miłość budzącą się w sercu, przyzywa namiętnie Elfy którą pokochał, prosi, zaklina urocze zjawisko i to niekiedy ulegnie jego błaganiom, lecz jeśli podzielając miłość śmiertelnika, dozwoli pochwycić mu się w objęcia i zostaje jego kochanką, wtedy prawem nieubłaganego przeznaczenia, skutkiem zetknięcia się z rzeczywistością, nadziemska dziewica umiera i biała jej postać znika jak złudzenie rozpływając się we mgle.

Otoczona zasłoną z przezroczystej mgły, ukazała się nam nareszcie święta wyspa *Frösen*, jakby nagromadzenie skał unoszących się w morzu pary.

Prostopadłe boki wyspy mają po pięćset stóp wysokości; na jej szczycie wznoszą się lasy i wioski. Frösen leży na krańcu jeziora *Storsjon* największego w tej prowincyi. Wyspa ta długo uważaną była za świętą, za olbrzymi ołtarz kamienny na którym cała okolica składała cześć bożkom swoim a później wszyscy mieszkańcy tu uroczyście przyjęli wiarę chrześciańską.

Nad brzegami jeziora wprost wyspy Frösen, wznosi się miasteczko Ostersund, gdzie mieliśmy nocować i wieczerzać. Na ostatnim przeprzągu małego chłopca zastąpiła duża dziewczyna, siadając bez ceremonii na siedzeniu jakby na koniu, po za naszemi plecami. Jest to zwyczaj bardzo tu rozpowszechniony i nieraz można widzieć poważnych Anglików, członków Parlamentu, w podobny sposób wjeżdżających do Trondjem.

Ostersund jest najważniejszem miastem północnej Szwecyi (z wyjątkiem miast leżących nad morzem). Liczy ośmset mieszkańców, ma swego burmistrza i pastora, oberże na wzór odwiecznych podobnych zakładów, a więc nie zalecające się ani powierzchownością ani wygodą, i łóżka jakich pewnie na całym świecie nie zobaczy. Wyobraźcie sobie biórko machoniowe, wysokie, wązkie i hermetycznie zamknięte; oberżysta naciska sprężynkę, wierzch biórka podnosi się, odchyla się na bok i tworzy rodzaj szuflady pełnej piernatów, poduszek, pokrytych mikroskopijnemi prześcieradłami to łóżko do zajęcia którego gospodarz uprzejmie zachęca. Na takiem łożu trudno usnąć i sen wcześnie ulata z powiek; to też ledwie dzień zaświtał wybraliśmy się na wycieczkę.

Na stromym jej grzbiecie unoszą się jeszcze *kolumny runiczne*; dziwne pismo wijące się zygzakiem po ich powierzchni, opisuje wielkie wydarzenia jakich wyspa Frösen była świadkiem. Wśród nich sterczy kamień świeższej daty z napisem: „*Tu Karol XVI* (*Jan Bernadotte*) *pozdrowił zgromadzony lud Jemtland.*“ Na wierzchu wyspy roztacza się przed oczami niezmierzony krajobraz; u stóp płynie jezioro, dalej łańcuch wzgórz poprzerzynanych smugami śniegu, a po nad niemi wznosi się wysoki szczyt *Areskutana* tej Białej góry Alp szwedzkich.

W tem zdala doleciały nas jakieś dziwne, nie koniecznie harmonijne dźwięki, idąc za ich odgłosem dochodzimy do lasu, po za którym wygrywa zawzięcie orkiestra wojskowa. Nieco w oddali bielą się namioty, chorągwie w kolorach Szwecyi powiewają w powietrzu, kilka armat wystawia ku nam swe spokojne paszcze. Żołnierze mustrują się pod kierunkiem oficerów, siedzących na pięknych, czystej krwi rumakach: to obóz szwedzki.

Oficerowie przyjęli nas bardzo uprzejmie, a dowiedziawszy się że jesteśmy Francuzi, powitali jako dawnych a może i przyszłych towarzyszy broni. Dzień przeszedł nam mile na poufnych pogadankach; użyliśmy prócz tego przejażdżki po jeziorze i zwiedzili warte widzenia okolice.

Organizacya i sposób rekrutowania armji szwedzkiej różni się zupełnie od systematów innych krajów. Długo bardzo siła zbrojna narodowa tworzyła się z ogólnych zaciągów; na wezwanie monarchy naród chwytał za broń. Pan opuszczał swój pałac na czele swoich wazali, wieśniak porzucał fermę i wszyscy biegli bronić ojczyzny lub walczyć za sprawę protestantyzmu. Pierwszy dopiero Karol XI utworzył w Szwecyi armię stałą. Po wojnie trzydziestoletniej znalazł skarb próżny a dobra koronne zagrabione; szlachta przywłaszczyła je sobie i pragnęła zatrzymać na mocy wiekowego prawie posiadania a zatem przedawnienia. Król ustanowił komitet którego obowiązkiem było sprawdzać tytuły własności poskromił nadużycia i powrócił Państwu piętnaście hrabstw, siedmdziesiąt baronii i wielką liczbę posiadłości ziemskich. Wzbogaciwszy tym sposobem skarb i koronę, postanowił obrócić dochody z odzyskanych własności na utrzymanie armii stałej, obok tego ustanowił na korzyść oficerów tak zwane donacye gruntowe. Od jenerała do porucznika, każdy otrzymując nominacyę wchodził jednocześnie w posiadanie pewnej przestrzeni gruntu, którą wolno mu było wypuścić w dzierżawę lub samemu nią zarządza; pobierał z niej dochody i ciągnął korzyści, ale nie mógł ani sprzedać, ani przekazać, ani obciążać długami; jeśli opuszczał służbę, zwracał grunta Państwu; jeśli awansował, zamieniał je na znaczniejszą posiadłość. Takie grunta nosiły nazwę *bastells.* System ten po dziś dzień obowiązuje; bastell jenerała brygady przynosi 10,000 fr. rocznego dochodu, bastell pułkownika 3,000 fr. bastell dowódzcy batalionu 2,000 fr. Nasi gościnni oficerowie w Frösen, urzeczywistniali ideał żołnierzy-rolników; komendant pokazał nam swoją fermę, kapitan popisywał się z drobiem a porucznik częstował jabłkami ze swego sadu.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714 — 1765 wydał A. Pawiński. Tomy I — III. Warszawa 1876.

(Dalszy ciąg).

Uniżał się także Matuszewicz przed drugim swoim przeciwnikiem Flemingiem i, jak powiada, „często go *w brzuch* całował“ (III, 94). Hetmanowi Radziwiłłowi Matuszewicz, jak powiada, wszędzie nadskakiwał, „byłem jednak — powiada — tak nieszczęśliwy, że ks. hetman ustawicznie był dla mnie oziębły.“ Nieszczęście to Matuszewicz ofiarował Panu Bogu“ (III, 124). Pomimo to, przyjmując książęcia hetmana u siebie w domu i pokazując mu portrety przodków — naprzekór Czartoryskim Matuszewicz wywodził ród swój od kniazia Matusza — „przez wdzięczność łaski ks. hetmana płakać począł, a upadłszy mu u stołu siedzącemu w nogi całować i bardziej płakać zaczął“. Już to płacz był wtedy widać na zawołanie, „bo i całej kompanii u stołu siedzącej, osobliwie Wawrzeckiemu, głośniej płaczącemu, łzy w oczach były“ (III, 151). Wyjeżdżając ks. hetman, powiada Matuszewicz, wzniosłszy ręce błogosławił nam i dziatkom naszym“ (niby jaki biskup). Prosił jeszcze Matuszewicz nieraz potem Czartoryskiego o protekcyą i ucieszył się bardzo, gdy kanclerz Czartoryski wyraził się o nim „contrarius sed honestus“ (przeciwny lecz uczciwy III, 162). Co do nas, przeczytawszy z zajęciem pamiętniki Matuszewicza, nie możemy przyznać mu ani stałości zasad ani pożytecznej dla kraju działalności: kierował się on, jak inni, interesem osobistym, a chociaż parę razy ubolewa nad „nieszczęśliwą rzeczpospolitą“ nie uczynił jednak sam nic zgoła, coby do polepszenia tego stanu anarchii zmierzało, lecz owszem sam z niej korzystał i ją utwierdzał. Co najwięcej, o Marcinie Matuszewiczu możemy powiedzieć te tylko słowa, które stały się pospolitym komunałem na ten wypadek, gdy nie chcemy kogo ganić, a chwalić nie ma za co, a mianowicie: „nie był gorszym od innych.“

O wypadkach ogólnie-europejskich i dyplomatycznych Matuszewicz wspomina o tyle, o ile takowe miały związek z polskiemi sprawami. Tak w tomie I na str. 55 — 56 mówi o udziale mocarstw europejskich w wojnie o tron polski i w traktowaniach o pokój. Mówiąc o sprawach rossyjskich (I, 108), Matuszewicz popełnia grube błędy, nazywając zmarłą 1740 r. cesarzowę Anną Piotrówną, zam. Iwanówną, a jej następcę niemowlę Piotrem, wnukiem Piotra W. gdy nazywał się on Iwanem, zaś Piotr II panował przed Anną. Tamże powiada autor że Karol VI wyznaczył córkę swą Maryą Teresę na cesarzową, czego uczynić nie mógł, gdyż godność cesarska była w Niemczech elekcyjną i kobieta piastować jej nie mogła; Karol zapewnił tylko córce następstwo po sobie w krajach dziedzicznych (Austryi, Czechach, Węgrzech i t. d.); cesarzową zaś Marya Teresa zaczęła tytułować się dopiero po obraniu swego męża Franciszka cesarzem po Karolu VII Bawarskim.

Ciekawą jest rzeczą, że Matuszewicz próbował mieszać się do intryg dyplomatycznych posła francuzkiego ks. de Broglie, który walczył przeciwko wpływowi rossyjskiemu. Matuszewicz brał nawet pieniądze od posła, traktował z niejakim Bekiem szwajcarem, z Durandem i generałem Mokronowskim (II, 14). Gdy zarzucano Matuszewiczowi, że bierze pieniądze od ks. Broglie, ażeby szkodzić partyi Czartoryskich, przyznał się że wziął 1500 czerwonych złotych jako jałmużnę, „którą gdyby odrzucił, byłby szalony“ (II, 264).

O toczącej się spółcześnie w Europie wojnie siedmioletniej, w której chociaż Polska udziału nie brała, lecz była swobodnym dla wszelkich wojsk gościńcem i oberżą, w której popasywano i gospodarzono, u nikogo pozwolenia nie prosząc, znajdujemy u Matuszewicza wiadomości (np. II 313 i inne); zresztą nic nowego.

Z wielkiej obfitości charakterystycznych rysów, anegdot i opowiadań o smutnej anarchii, przewadze prywaty i buty magnackiej, wskażemy tylko niektóre. W pierwszym tomie zasługuje na uwagę zarys samowolnego postępowania Sapiehów (str. 21 i następne). Już Sobieskiemu Sapiehowie byli „ciężcy“ jak mówi autor: czynili ciągle na przekór królowi i nawet wyrządzali mu jawne afronta. Raz np. Sapieha wojewoda wileński przeprawiał się dzień cały przez Wisłę z Pragi do Warszawy, zabrawszy do swego licznego dworu wszystkie łodzie i promy. Miał prosto jechać do zamku, gdzie Jan III nań oczekiwał, ale przeprawiwszy się, zadrwił sobie z króla i pojechał wprost do swojego pałacu. Innym razem znowu przyjechał do króla z tak wielką świtą, że takowa w zamku pomieścić się nie mogła i tylko przeszła przez pokoje. Lekceważąc królów i prawo, Sapiehowie trzęśli Litwą, aż wreszcie, jak wiadomo, wzniecili formalną wojnę domową, gdy Litwa pod przewodnictwem Wiśniowieckich i Ogińskich skonfederowała się przeciwko Sapiehom i stoczywszy z nimi bitwę, pobiła ich pod Olkienikami. Historyą tej wojny domowej, opisanej także szczegółowo przez Otwinowskiego, traktuje Matuszewicz począwszy od str. 21 I tomu. Jak groźną była przewaga Sapiehów na Litwie, pokazuje się z tego że Szaniawski, który zaniósł przeciwko nim manifest do grodu, dla bezpieczeństwa życia musiał zostać księdzem. Hetman Pociej podpisuje się na skrypcie królewskim, lecz potem miasto piaskiem zasypać, zalewa pismo, niby przez pomyłkę, atramentem (I, 26).

Szczegółowo opowiada Matuszewicz o przebiegu i zrywaniu wszystkich bez wyjątku sejmów za Augusta III w skutek intryg partyi dworskiej i przeciwników jej Czartoryskich: tak np. słynny sejm 1742 r. na którym chodziło o udział Polski w wojnie z Austryą i gdzie Wilczewski wymieniał posłów, przekupionych przez króla pruskiego ażeby sejm zerwali, opisany jest szczegółowo (I, 160). Sejm nie doszedł dla tego (jak to ciągle się za Augusta III

trafiało) że jeden z posłów, używając swego prawa *liberum veto* nie pozwolił rozprawiać aż do zmierzchu, a potem posłowie nie zgodzili się na przyniesienie świec. Sam Matuszewicz posłował na te opłakane sejmy, zajęte kłótniami stronnictw o obiór marszałka i inne błahostki. Częstokroć sejm przed obiorem marszałka i przed otwarciem już był zerwany. Rozprawiano czasem o różnych błazeństwach; np. niejaki Dylewski na sejmie 1748 roku podawał skuteczny środek ażeby powstrzymać nadzwyczajne mnożenie się żydów (I, 196).

Czartoryscy otwarcie króla nie słuchali i rozkazów jego nie przyjmowali jak o tem np. znajdujemy ciekawą wiadomość w sprawie Iwanowskiego starosty mińskiego, któremu król pozwolił ustąpić starostwo synowi, lecz Czartoryscy nie chcieli pieczętować konsensu, pomimo że król listami kilkakrotnie to nakazywał (I, 290).

O ważnej i głośnej sprawie ordynacyi ostrogskiej, nieprawnie rozszarpanej, znajdujemy u Matuszewicza w obszernym zarysie wiele nowych i ciekawych szczegółów (II, 47—62). Urzędy i starostwa nabywano za pieniądze i przy protekcyi obcych dworów: tak np. gdy Pociej ofiarował Brylowi 2000 czerw. zł. za starostwo mścisławskie, Czartoryski dał więcej, a przytem zyskał poparcie w Petersburgu i otrzymał to starostwo dla zięcia swego podkanclerzego Sapiehy (II, 265). Bryl wyprowadzał z Polski dobrą monetę srebrną a natomiast zalewał ją fałszywemi pieniędzmi, które fabrykował w Niemczech i w starostwie swojem na Spiżu (III, 49). W podobny sposób jak Czartoryscy i przy tejże protekcyi otrzymał Pióro starostwo rumszyckie po ks. Chorążym Radziwile (III, 86).

Ciekawy jest opis inwestytury kurlandzkiej królewicza Karola odbytej w Warszawie 1759 roku. Charakterystycznym jest następujący ustęp: „gdy książę kurlandzki, pocałowawszy rękę królewską ruszył do odjazdu, Wolski, czyniący się kawalerem jerozolimskim, człek prawie pośmiewiskiem będący, nie wiedzieć jakim sposobem, wypadł niedaleko tronu naśród senatu i krzyknął: „Vivat najjaśniejszy Karol książę Kurlandyi“ i mając na arkuszu drukowane wiersze polskie na cześć temuż księżeciu, zaczął rozrzucać po senacie po głowach senatorskich. Król *strwożył się, rozumiał, że kto od książąt Czartoryskich manifest przeciwko temu aktowi okrzyknął*, lecz prędko informowany co się dzieje, niekontent był z tego okrzyku wiwatu i tak Mniszech marszałek nadworny koronny nazwał Wolskiego błazenm, po głowie go laską marszałkowską uderzył. Nakoniec, gdy się król z tronu ruszył, tegoż Wolskiego aplauzora wzięto do koziarni“ III, 42).

O słynnym sejmie 1761 roku, na którym przyszło do ostrego starcia pomiędzy Brylem i partyą dworską z jednej i partyą Czartoryskich z drugiej strony, znajdujemy u Matuszewicza ciekawe szczegóły. Na tym sejmie po raz pierwszy wystąpił głośniej Stanisław Poniatowski, późniejszy król, a wówczas stolnik litewski i zasłynął, jako mówca układny i, chociaż występował w obronie swoich krewnych Czartoryskich, bardzo umiarkowany. Namówiony przez Czartoryskich niejaki Dylewski nie pozwolił obradować dla tego tylko, że w drukowanym w drukarni pijarskiej spisie posłów jego nazwisko nie w należytem miejscu położono. Jakiej wagi były rozprawy i kłótnie na tym sejmie, widać z wyznania Matuszewicza, że słuchał mów księcia Radziwiła i Mniszcha, jakby niemieckiego kazania i że on i wielu innych nic nie rozumieli, co się dzieje (III, 129). Po przedrukowaniu regestru posłów i sprostowaniu pomyłki, sejm probowano wznowić, ale Czartoryscy nie dopuścili nawet do obioru marszałka, kazali czytać, bez potrzeby i związku prawo o wypadkach, gdy nieposłuszeństwo królowi jest dozwolonem, skarżyli się że inwestytura ks. Karola i zwołanie tego sejmu odbyły się bez zgody senatu i nareszcie sejm po sześciu sesyach nieukonstytuowany, zerwany został.

Niemniej ciekawy jest opis zabiegów o wakanse po zmarłym w 1762 roku hetmanie i wojewodzie wileńskim Radziwile (III, 205—206). Hetmanem wielkim litewskim, według zwyczaju, miał zostać hetman polny Masalski: chodziło więc o buławę polną i o województwo wileńskie. Czartoryscy żądali ażeby wojewodą został Ogiński, hetmanem zaś polnym Brzostowski; zuchwale domagali się tego od Bryla i króla, grożąc wszelaką zemstą, jeśliby ich życzenia nie były uwzględnione. Z drugiej strony, o województwo starał się syn zmarłego Karol Radziwił, podówczas miecznik litewski, ofiarował przy tem Brylowi znaczne pieniądze. O buławę polną czynił zabiegi Sapieha, wojewoda połocki, który dał Brylowi 20,000 dukatów; nadto, powiada Matuszewicz, „sama wojewodzina połocka, będąc piękną i młodą, ofiarowała grafowi Brylowi fawory i powiadają że syn Bryla, generał artyleryi koronnej, z tych faworów profitował“ (III, 205). Ci więc dwaj kandydaci odnieśli tryumf wbrew Czartoryskim. Zemściła się za to można „familia“ na sejmie 1762 r. Poniatowski stolnik litewski zarzucił publicznie młodemu Brylowi, że nie był szlachcicem; przyszło do tumultu i dobycia szabel. Sejm, jak i wszystkie poprzednie, został zerwany. Matuszewicz opisuje szczegółowo przebieg tych kłótni na sejmie i na obiedzie u hetmana Branickiego, gdzie właśnie znajdowali się razem Bryl i Czartoryscy (III, 206—211).

Rysy obyczajów domowych rozrzucone wszędzie w wielkiej obfitości. Popularny hetman Pociej sypia w stodole, a wyszedłszy w nocy w jednej koszuli przed stodołę, w tym stroju pije wino z dworzanami (I, 28). Zgromadzeni w Królewcu zwolennicy Leszczyńskiego, jak powiada Matuszewicz „o domach swoich i niepomyślnej sytuacyi zapomniawszy, bardzo hojnie aż do zbytku żyć poczęli, parady czynili, bale dawali, w inklinacye i rozkosze powdawali się, tak, że aż w różne choroby powpadali (I, 54). Niejaki Przezdziecki namówił swoją siostrzenicę Gujską, aby męża porzuciła i do rozwodu poszła. Otrzymawszy rozwód, Gujska wyszła powtórnie za Szymkiewicza, ale nuncyatura skasowała rozwód i kazała Gujskiej do pierwszego męża wrócić (I, 101).

Słynny pojedynek Poniatowskiego, późniejszego podkomorzego koronnego i brata królewskiego z Tarłą, wojewodą lubelskim, opisał Matuszewicz szczegółowo. Powodem było to, że na balu w Warszawie wydanym, Tarło najwięcej tańczył z Lubomirską, w której się kochał i o której wieść chodziła że urodziła się z niejakiej Zakrystowej, mieszczanki krakowskiej, porwanej przez jej ojca. Obruszyły się więc damy na to pierwszeństwo przez gospodarza Lubomirskiej okazane, a gdy następnie Tarło prosił do tańca Czartoryską, ta mu odmówiła. Obrażony Tarło głośno powiedział, że kto z Czartoryską tańczyć będzie, z nim będzie miał do czynienią, a gdy Poniatowska kazała swemu synowi to uczynić, przyszło potem do pojedynku Poniatowskiego z Tarłą. Pierwszy pojedynek zakończył się niczem, ale potem, wyzwawszy Tarłę powtórnie, zabił go Poniatowski (I, 150). Oczywiście uszło mu to na sucho; nawet Czartoryscy prześladowali tych, którzy Tarły żałowali jak niejakich Szamockich, których przez fałszywego denuncyanta oskarżyli, jakoby króla tyranem i bałwanem nazywali.

Córka Sapiehy podskarbiego nadwornego obiecała dać 1000 czerwonych złotych swej służebnej pannie Korycińskiej, która miała wyjść za Niemcewicza, ale tymczasem Sapieżanka zakochała się w generale Mokronowskim, „tak mocno że aż waryacya jej przypadła“ ów więc posag został zakwestyonowany, a Niemcewicz bez posagu żenić się wahał, aż Marcin Matuszewicz przez jakąś karlicę wyrobił owe 1000 dukatów od samej podskarbiny.

Ciekawą, pewno jedną z najdawniejszych, znajdujemy pod r. 1755 wzmiankę o herbacie, którą szlachtę częstował. Co do częstowania winem, czyli raczej pojenia, używano tego środka do wybadania („egzaminu“) konkurenta o pannę — tak było z ojcem Matuszewicza — albo też do osłabienia zdrowia konkurenta i odwleczenia przez to ślubu — jak to uczynił Siruć z samym Marcinem Matuszewiczem.

Pomimo nadużyć i wybryków, ludzie byli wtedy pobożni. Sam Matuszewicz okazuje szczerą pobożność i w ciężkiej chorobie wyzdrowienie swoje przypisuje sakramentom. Ojciec Matuszewicza wilią śmierci pod błogosławieństwem zakazał, ażeby go nie oszukano i w sobotę z mięsem ani z masłem jeść nie dano.

Przesądów było jeszcze w owej epoce sporo: Matuszewicz z dobrą wiarą opowiada, że jego ojciec znał Francuza, który umiał srebro robić i że z tego srebra sam widział u ojca guziki przy płaszczu. W tem samem wspomnieniu o zagranicznej podróży ojca mówi o Estce, obywatelu z mińskiego, który wyjechał do Amsterdamu i tam został żydem. Prawi także Matuszewicz o skarbach zakopanych pod Lachowiczami i o „chiromanciście“ czyli wróżbiarzu, który za pomocą jakiejś różczki odkrył miejsce zakopania (II, 14). Opowiada także Matuszewicz jak pewnego oficera piorun zabił za to że w piątek jadał mięso i jak o to samo przestrzegła we śnie jego ojca jakaś postać. Po śmierci ojca Marcin widywał go i odbierał od niego wskazówki co do potrzebnych mu, a potajemnie ukrytych papierów. (*d. n.*)

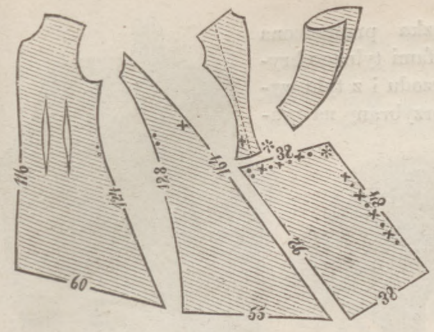
Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Helenie J. Tygodnik nie jest przeznaczony dla dzieci tylko dla dorosłych osób i tak zawsze prowadzony, że nigdy nie lekceważy niczego co na szacunek i poważanie zasługuje. Co do badań naukowych, tych żadnym sposobem fałszywie przedstawiać nie może: dodamy więc tylko, że pracami antropologicznemi zajmuje się we Francyi obecnie dwóch kapłanów bardzo uczonych a w Rzymie kapłan także jest prezesem odpowiedniego towarzystwa. Świat przed wszystkiemi stoi otworem a myśl badawczą i ciekawość na to Opatrzność nam dała, aby go człowiek coraz lepiej poznawał i dochodził nawet tego, co może na zawsze dla niego tajemnicą pozostanie. Badaniami zatem naukowemi gorszyć nikogo nie można, tylko wnioskami ztąd wyprowadzanemi najczęściej na pysze opartemi.

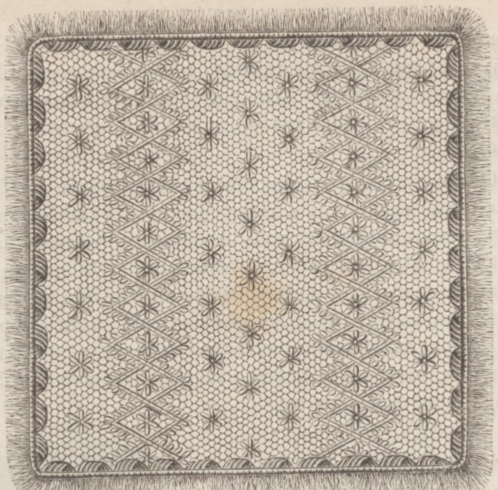
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 13 (25) Января 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

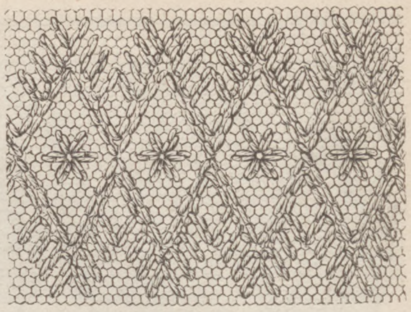
Dodatek.



N. 1. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 4 w N-rze 3.



N. 2. Serwetka wywodzona na tiulu. Patrz ryc. 3.



N. 3. Wzór wywodzenia na tiulu do ryc. 3.

Opis do N. 4.

(Dokończenie).

N. 31. Stanik z bawetem sznurowany z tyłu.

Odpowiednio do bawetu przybranie naszyte jest w ząb i składa się z plis, i bufek falbanki illuzjowej. Na jednem ramieniu przypięta gałązka powoju, na drugiem kokarda.

N. 35. Medaljon.

Odpowiedni dla młodych osób składa się z niezapominajek emaljowanych niebiesko i ze szlifowanych stalowych perełek; na aksamitce otaczającej szyję rozrzucone pojedyńcze niezapominajki.

N. 33—35. Kokardy i kwiaty do balowego ubrania.



N. 4. Krawatka.

Długie fantazyjne upięcie do sukni balowej składa się z kwiatów polnych, delikatnych trawek, gałązek wąziutkich ściśle zwijanych ruloników pąsowej materyi i kokard z wstążki niebieskiej i ponsowej. Całe upięcie obrzucone iest piaskiem srebrnym i złotym przez co przy oświetleniu błyszczy się efektownie; odpowiednie jest do podpięcia tuniki lub przybrania sukni, zaś dwie pojedyńcze kokardy można użyć do stanika i do głowy.

N. 36. Stanik wycięty kirasowy. Krój kirasów znajdą czytelniczki w dodatkach przeszłorocznych.

Stanik przedstawiony na rycinie 36, zapinany z przodu na guziki i zakończony z brzegów grubą wypustką, odszyty jest z materyi różowej. Fantazyjnie ułożona berta z różowego tiulu, zdobna riuszą z tej co suknia materyi, liczy z przodu 12, na ramionach 8 cent. a z tyłu w środku śpiczastego zęba 14 cent. szerokości. Przy wykroju oszyta jest plisowaniem z tiulu, przez które przewleczona jest wąziutka czarna aksamitka; z przodu berta rozchodzi się w dwa zęby przepięte kokardą z gałązką kwiatów; na ramionach przez przypięcie kokard tworzą się także małe zęby.

N 37. Chusteczka tiulowa.

Ze szlakiem naśladującym koronkę, wyszywa się na tiulu w najlepszym gatunku, w kolorze czarnym lub białym i na formę trójkąta liczącego z podłużnego brzegu około 200 cent. długości a w środku zęba 65 cent.; końce przednie przewiązują się lekko na piersiach i puszczają wolno, lub też jeden przytrzymany jest na lewym boku kokardą i przedłużony dodanym oddzielnie końcem, jak to rycina 37 przedstawia. Szeroki szlak zdobiący brzegi wyszyty jest ręcznie podług wzorów załączanych w Tygodniku.



N. 6. Stół nakryty serwetą z kolorowemi szlakami. Wyszycie ściegiem poprzecznym.



N. 4. Krawatka.

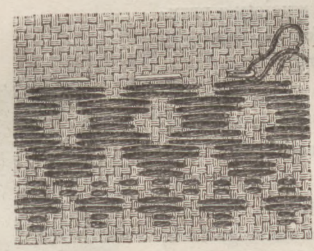
N. 38 Stanik kirasowy wycięty w carré.

Odpowiedni do ubrania na wizyty wieczorne stanik do sukni jedwabnej, wycięty jest w carré i ogarnirowany koronką lub plisowaniem z crêpe-lisse przytrzymanem riuszą z piór. Rękawy sięgające do łokci ułożone z buf tiulowych, zakończone są podwójną koronkową falbaną i przewiązane wstążką. Pióra i wstążka przy jasnej sukni może być tego samego koloru, a przy ciemniejszej jasnego. Do czarnej bareżowej lub jedwabnej sukni rękawki powinny być z czarnego tiulu.

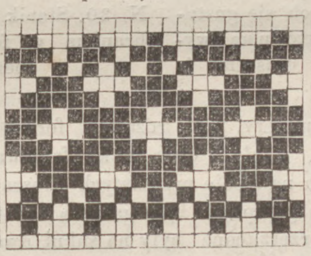
N. 39. Opis w przesz. N-rze.

N. 40—61. Umeblowanie pokoju dla lalki.

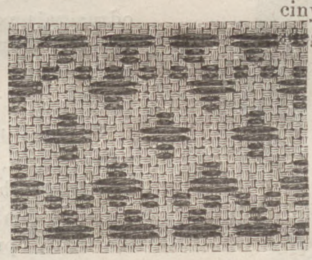
Dla małych panienek które uczą się roboty na drutach, wyszywania na kanwie, dziergania i łatwego haftu poświęciliśmy ostatnią stronę dzisiejszego N-ru, podając w umeblowaniu pokoju dla lalki wzory powyżej wskazanych robót. Pod okiem matki, starszej siostry lub nauczycielki wykonanie pójdzie z łatwością; dokładne i szczegółowe ryciny objaśniają szczegółowo odrobienie każdego przedmiotu.



N. 9. Wykonanie ściegu poprzecznego do ryc. 7.



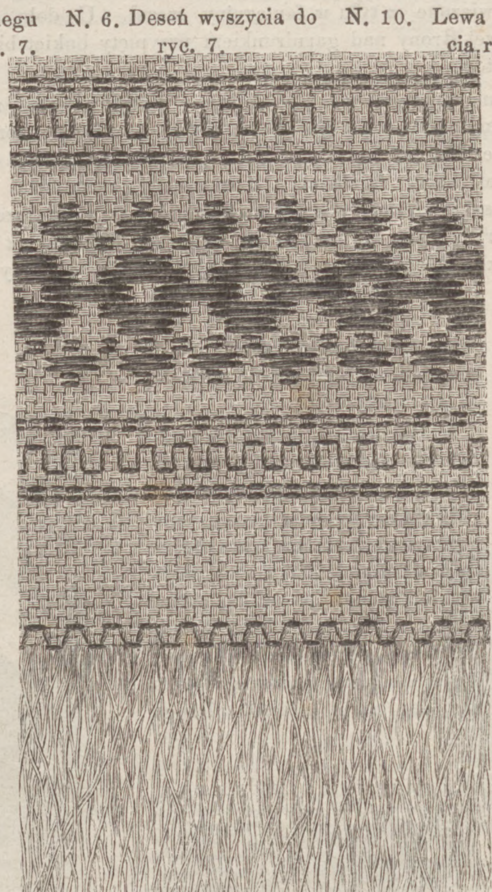
N. 6. Deseń wyszycia do ryc. 7.



N. 10. Lewa strona wyszycia ryc. 9.



N. 11. Suknia zdobna bufami.



N. 7. Szlak wyszyty ściegiem poprzecznym. Patrz ryc. 8, 10.

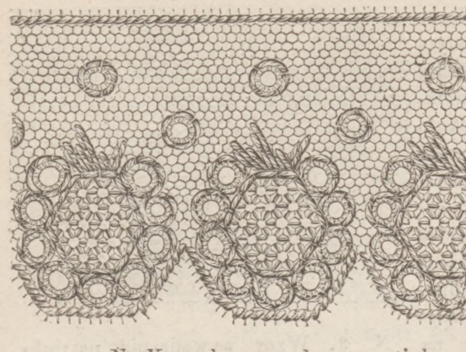
O UBIORACH.

Ogólne wiadomości o tego rocznych modnych nowościach podaliśmy w poprzedniem sprawozdaniu, w dzisiejszym N-rze załączamy opis toalet balowych wykończonych w magazynie p. Herse i p. Penkali.

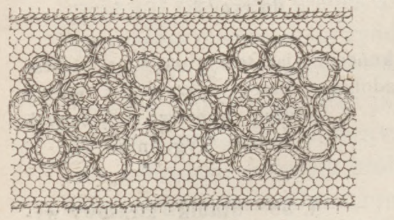
W pierwszym z wymienionych magazynów widzieliśmy śliczne suknie odszyte z kolorowego muślinu; są one bardzo praktyczne gdyż co do efektu mogą równać się z krepowemi i tarlatanowe-



N. 12. Ubranie domowe. Przód do ryc. 4. w N-rze 3



N. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 24. Wszywka odpowiednia do ryc. 13.

wemi a daleko są od nich trwalsze w użyciu. Odświeżywszy lub zmieniwszy wstążki czy kwiaty można taką suknię wziąść kilka razy w jednem karnawale. Cena stosownie do przybrania i wykończenia wynosi od 30 — 50 rs. z gotowych odznaczały się blado-różowa i blado-zielona, zdobne suto falbankami drobniutko plisowanemi, zamiast tunik lekkie draperye z muślinu przepinane kokardami. Staniki dekoltowane formą kirasów, sznurowane z tyłu dopełnione strojnemi bertami z muślinu i illuzyi i przepięte bukiecikami kwiatów lub kokardami.

Z droższych toalet uwagę naszą zwróciła suknia z materyi różowej faille zakończona wolantem, przemarszczanym dwoma rzędami w równych odstępach, przez co fałdki od jednego do drugiego rzędu układają się nakształt zębów. Z przodu sukni przerzucone poprzecznie dwa bryty z gazy chambéry w pasy złożone w płaskie fałdy i rozdzielone pasem fałd płaskich, dolny bryt oszyty drobniutkiem plisowaniem; tylne bryty sukni przysłonięte draperyą z gazy. Z prawego boku sute podpięcie z wstążki crême. Do tej sukni były dwa staniki jeden kiras podłużnie z przodu wycięty i dopełniony wykładanym kołnierzem spiętym kokardą crême i podszytym crêpe lisse; drugi do balowego ubrania dekoltowany, sznurowany z tyłu z bertą z illuzyi i materyi faille. Oba staniki były z materyi powleczonej gazą, u dołu baskiny z tyłu dodane kokardy z wstążki crême.

Suknia z czarnej materyi oszyta u dołu trzema plisowanemi falbankami z gazy jedwabnej i trzema riuszami z siepanej materyi. Tunika z gazy z tyłu przepinana w bufy z przodu suto nadmarszczona i układająca się w poprzeczne fałdy, z prawego boku przybrana była rzędem kokard koloru feuilles mortes do cieniu układanych z aksamitu i wstążki repsowej; z lewego boku od dołu do góry naszyty pas plisowania przestębnowanego trzy razy. Stanik kiras jedwabny, pokryty gazą; berta gazowa z koronką przepięta kokardami.

Oprócz sukien przeglądaliśmy w magazynie p. Hersego prześliczne chusteczki z krepy jedwabnej białe lub kolorowe, stanowiące efektowne dopełnienie ubrania na koncert, do teatru lub na wizytę wieczorną Modne są także kołnierze z pluszu i materyi odpowiednie do sukien podłużnie wyciętych; od góry dany szeroki kołnierz pluszowy formą marynarską szeroko otwarty z pod którego u dołu wysuwają się końce z materyi, złożone w drobne fałdy, przewiązane w węzeł. Brzegi końcy oszywają się frendzlą jedwabną, w środek węzła lub przy kołnierzu z lewej strony przypięta maleńka gałązka kwiatów; podgarnirowanie z crêpe lisse. Do ubranek na głowę dodają przybrania ze szneli.



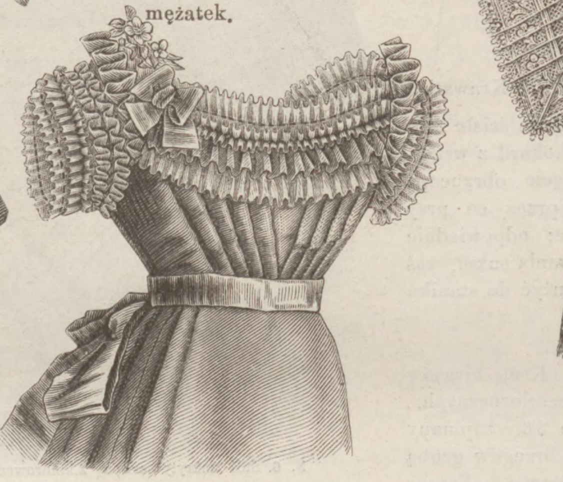
N. 28. Fartuszek z koronką i falbanką.



N. 21. Kapelusz z wysoką główką dla mężatek.



N. 23. Ubranko balowe.



N. 30. Stanik wycięty z przybraniem w formie okrągłej berty.

W magazynie p. Penkali pokazywano nam kilka sukien jedwabnych odznaczających się gustownem i efektownem wykończeniem; opiszemy je z kolei.

Suknia z materyi faille różowej, formą princesse zapinana z tyłu, miała u dołu kilka fałdowanych falbanek zachodzących na siebie przyszytych riuszą która na brycie przednim przepięta była gałązką kwiatów. W miejsce tuniki przerzucone były na sukni dwa szale gazowe, przewiązane z tyłu w fantazyjny węzeł. U dołu sukni z lewej strony nad garnirunkiem przypięty bukiet białych kwiatów.

Inna princesse z faille koloru kwiatu lipowego, miała dodany z tyłu bryt bufowany oszyty z brzegów koronką i otoczony girlandą z kwiatów odznaczały jakby długi prosto ścięty fartuszek. Z wierzchu przerzucone były dwa szale złożone w płaskie fałdy, oszyte u dołu szeroką u góry wązką koronką, krzyżujące się z przodu i z tyłu, z boków opuszczone w ząb a u góry końce ich przypięte są bukietami. Berta spuszczała się w ząb odpowiednio do wykroju sukni i zakończona była z przodu i z tyłu kokardą z wstążki przepiętą kwastami.

Suknia czarna jedwabna nadgarnirowana u dołu falbankami, cała przysłonięta była czarnym jedwabnym tiulem z przodu suto nadmarszczonym z tyłu ułożonym w bufy. Efektowne przybranie stanowiła wielka girlanda z lilii białych z liśćmi, przypięta poprzecznie z przodu i przechodząca z prawego boku aż do dołu sukni. Druga mniejsza gałązka przerzucona była między bufami tylnego bryta. Stanik z przodu i z tyłu wycięty w carré przybrany na prawem ramieniu gałązką lilii.



N. 19. Toczek dla młodej panienki.



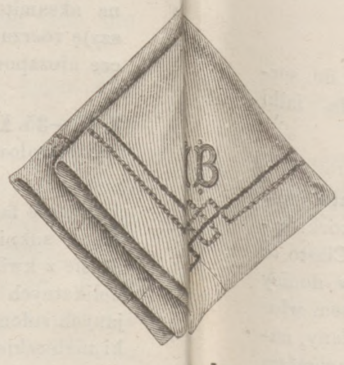
N. 20. Kapelusz z wysoką główką zdobny sznurem jedwabnym.



N. 24. Ubranko balowe



N. 26. Kołnierzyk hiszpański.



N. 25. Jedwabna chusteczka do nosa.



N. 27. Żabot do kołnierzyka.



N. 32. Modny medaljon.



N. 33 — 35 i upięcie do sukni

Kokardy z kwiatów balowej.



N. 38. Stanik kirasowy z kwadratowym wykrojem.



N. 17. Obrzucanie dziurek w koronce ryc. 13—16.



N. 36. Wycięty stanik kirasowy.



N. 37. Chusteczka wywodzona na tiulu.

Dla starszej mężatki przygotowana była suknia z czarnej materyi faille zakończona u dołu rzędami marszczonych falbanek. Vêtement z materyi damassé miało plecy przedłużone w długi tren z prostego bryta, złożony w cztery płaskie fałdy u dołu oszytą plisowaniem z materyi faille, w górze przepięty skośnie szarfą przechodzącą gładko i zakończoną węzłem. Boki vêtement z gładkiej materyi były tylko tak długie jak do kirasowego stanika, przody z materyi damassé przedłużone w dwa bryty oszyte frendzlą, krzyżujące się w środku i rozchodzące u dołu w dwa zęby łączyły się z tyłu pod trenem vêtement. Tak suknia wykończona była podług paryzkiego modelu odszytego z granatowej faille i materyi damassé granatowej z ciemno crême.

Na zebranie wieczorne lub objad proszony, dla młodej mężatki odrobiona była suknia z materyi crême, naszyta u dołu pięcioma plisowami falbankami. Vêtement formą princesse z adamaszkowej materyi zapinane wzdłuż przodu na guziki, u dołu naszyte dwa razy frendzlą i zebrane w parę fałd pod wielką kokardą, miało boczki przedłużone nakształt szerokich fałd, podszytych materyą faille, z brzegów zakończonych frendzlą. Szarfy te były u góry przerzucone w węzeł, niżej zaś przewinięte fantazyjnie; przody vêtement zachodziły pod szarfy.



N. 22. Kapelusz filcowy dla mężatek.



N. 31. Stanik wycięty z bawetem przybrany bertą w ząb.



N. 29. Fartuszek z plisą aksamitną i plisowaniem.

Okrycia balowe mają formę dolmanów, ponszek lub pelerynek: wykończają się z materyi białej adamaszkowej matelassé i t. p. i zdobią puszkiem lub frendzlą jedwabną. Pani Penkala pokazywała nam ładne rotondy do wejścia na bal aplikowane z materyi lub kaszmiru na tiulu grosbotowym Aplikacya przyszyta jedwabiem. Okrycia takie są niezmiernie efektowne na kolorowych sukniach.

Wachlarze od rs. 2 do 40.

W przyszłym N-rze opiszemy jeszcze kilka pięknych sukien z tego magazynu, które nie były jeszcze wykończone.

Opis ryciny kolorowej.

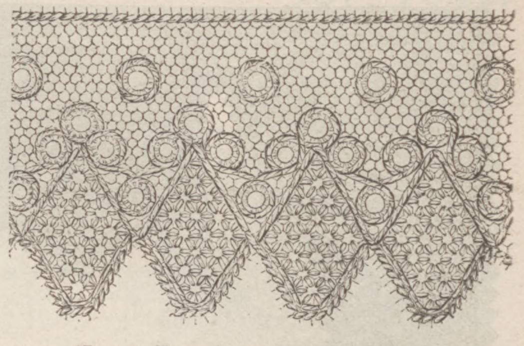
Fig. I. Ubranie balowe.

Suknia z białego tarlatanu ze stanikiem kirasowym z białego atłasu, dopełnionym bertą z riuszy illuzjowych i atłasowych ruloników. Dół sukni objęty plisą atłasową 8 cent. szeroką, powyżej idzie suta riusza, dwa rzędy plisowania zachodzące na siebie i znów riusza. Cała suknia aż do garnirunku przysłonięta jest z wierzchu gazą *de serail* lekko nadmarszczoną i wzdłuż przodu przepinaną wstążkami atłasowemi u dołu zakończonemi w pukle zachodzące na riuszę; od góry zaś ku prawej stronie naszyty pas riuszy przemarszcza gazę poprzecznie, z lewej strony brzeg gazy zachodzi pod klin atłasowy złożony w poprzeczne fałdy. Długie fantazye z trawy i liści dopełniają przybrania sukni, krótkie zielone gałązki przypięte są na ramionach a głowę zdobi maleńki okrągły wianeczek.

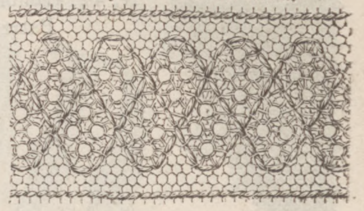
Fig. 2. Strojne ubranie wizytowe. Do sukni z jedwabnego repsu koloru cardinal, zakończony trzema plisowanemi falbankami vêtement zapinane z przodu trzema rzędami guzików odrobione jest z takiegoż aksamitu i oszyte jedwabną plisą z podwójną wypustką i frendzlą kwaścikową. Jedwabne kokardy przy kołnierzyku i rękawach. Głowę zdobi białe strusie pióro przypięte agrafką złotą z granatami.



N. 18. Zakończenie brzegów koronek ryc. 13—16.



N. 15. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 16. Wszywka odpowiednia do ryc. 15.

Przepisy kuchenne.

Pączki parzone.

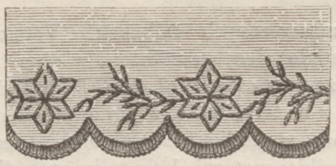
Pół kwarty mąki dobrze wysuszonej sparzyć półkwartą mleka, które zagotowawszy odstawić na parę minut, a potem polać nim mąkę i rozcierać póty łyżką, póki się ciasto dobrze nie wyrobi i nie przestygnie: dodać do tego drożdży dobrych pół filiżanki i 16 żółtek dobrze



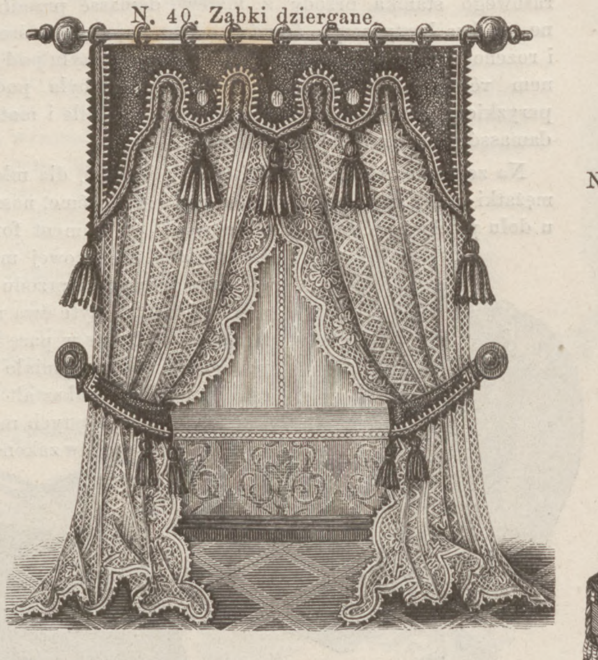
N. 39. Stanik z plecami złożonemi z kilku części. Opis w przesz. N-rze.



N. 42. Lambrekina do firanek. Patrz ryc. 41.



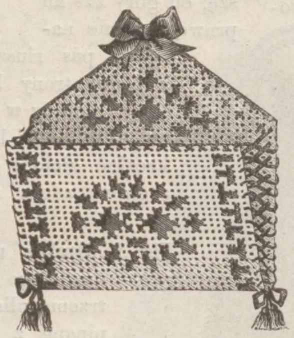
N. 40. Ząbki dziergane.



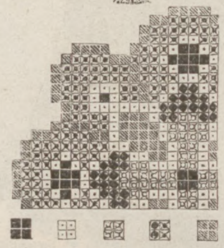
N. 41. Firanki do pokoju lalki. Patrz ryc. 42.



N. 43. Deseń na lambrekinę, do pokoju lalki.

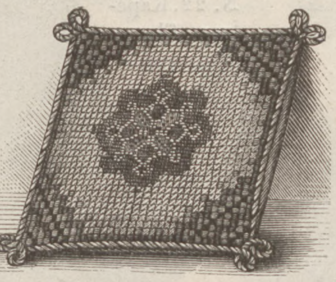


N. 7. Teka dla lalki. Wyszyta jedwabiem na kanwie papierowej.

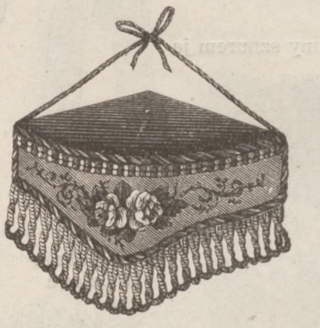


czarne, kryształ. mleczne, 1, 2 i 3. perełki, cień zielony.

N. 45. Rozeta środkowa na robotę krzyżową z perełkami do ryc. 44.

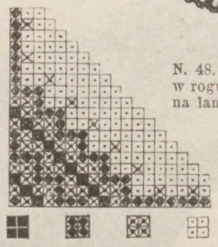


N. 44. Poduszka do kanapy dla lalki.



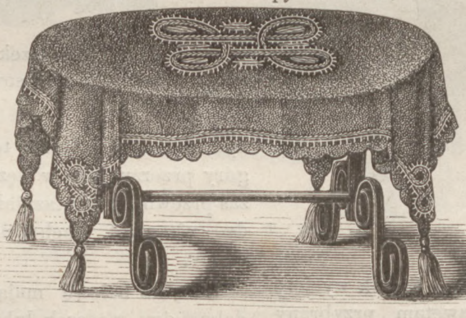
N. 48. Półeczka do zawieszenia w rogu pokoju dla lalki ozdobiona lambrekiną z frendzlą z perełek.

N. 50 Narożnik do serwety na stół dla lalki ryc. 49.



czarny, ciem. jasny, biały zielony.

N. 46. Narożnik do poduszki dla lalki r. 44.



N. 49. Serweta na stół dla lalki. Patrz ryc. 5.

ubitych: co wymięszać dobrze i postawić w cieple aby rosło. Następnie dodać od 3-ch jaj ubitą pianę i mąki tyle, ile potrzeba, ażeby ciasto było do statecznie gęste, (której jednak więcej wyjść nie powinno jak dobre pół kwarty) filiżankę miałko utartego cukru, filiżankę masła klarowanego. Po należytem ubiciu, gdy się powtórnie ruszy, wyłożyć na stolnicę, ale nie rękami, tylko przewróciwszy naczynie, w którem było ciasto zarobione: poczem robić pączki i układać na stolnicy w ciepłem miejscu, aby znowu rosły. Potem puszczać je na gorący smalec: gdy się zrumienią z jednej strony, przewrócić na drugą, przyszykowanem do tego długiem cienko zastruganem drewienkiem, którem też należy je wyjmować, układając na przetaku bibułą przesłanym, a następnie na półmisku posypując cukrem. Przyczyniając ciasto, należy je trochę osolić: konfitur włożyć według upodobania.

Pączki włoskie.

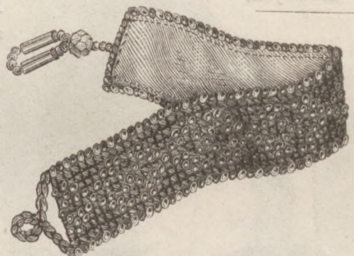
Mąki wygrzanej suchej pół garnca, drożdży dobrych filiżankę, śmietanki ciepłej filiżankę z tem się rozczynia, a gdy trochę, się przerobi, wziąść żółtek 24, rozbić, przecedzić przez sito: do nich wsypać kubek cukru, rozbić, masła kubek sklarowanego letniego, dla zapachu kardymonu, kwiatu muszkatołowego i skórki cytrynowej utartej. Ciasto to mocno wiercić w donicy przez godzinę, potem włożyć w rądel pobielany, nakryć i postawić w ciepłem miejscu, aby rosło: gdy podrośnie, wyjąć na stolnicę, zwolna wałkować, obracając i mąką potrząsając, aby nie przylegało do stolnicy, a gdy się rozwałkuje na półtora cala, lub cieniej, wyrzynają się szklanką, maczaną w mące, dwie połówki, które należy zlepiać do koła, zostawiając otwór mały, tak, aby małą łyżeczką można nalać śmietankę, ubitą cukrem i cynamonem: zalepiwszy kłaść na blat mąką posypany, a gdy dobrze podrosną, smażyć na smalcu, na węglach pod pokrywą, nie tykając widelcem, aby nią przebić pączka. Smażyć się wolno powinny.



N. 53. Wałek pod głowę dla lalki. Robota szydełkowa tunet. ściegą.



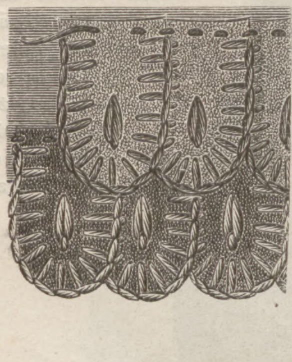
N. 51. Poduszka pod nogi dla lalki. Robota na drutach patrz ryc. 52.



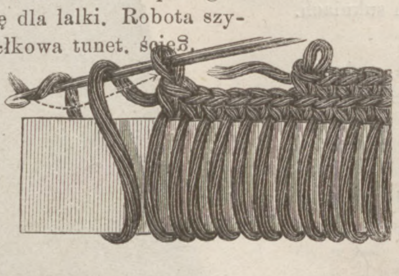
N. 54. Pas do dzwonka do pokoju dla lalki. Robota krzyżowa z perełkami.



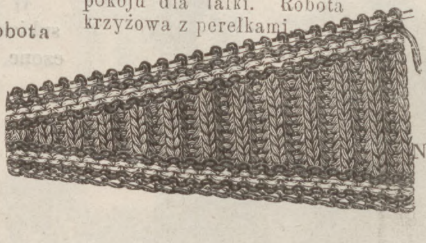
N. 61. Pasek haftowany do ryc. 60.



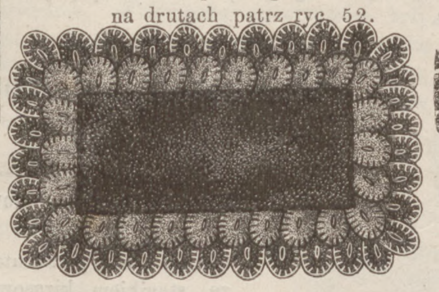
N. 56. Ząbki dziergane do dywanika ryc. 55.



N. 58. Wykonanie frendzli do dywanu dla lalki ryc. 27.



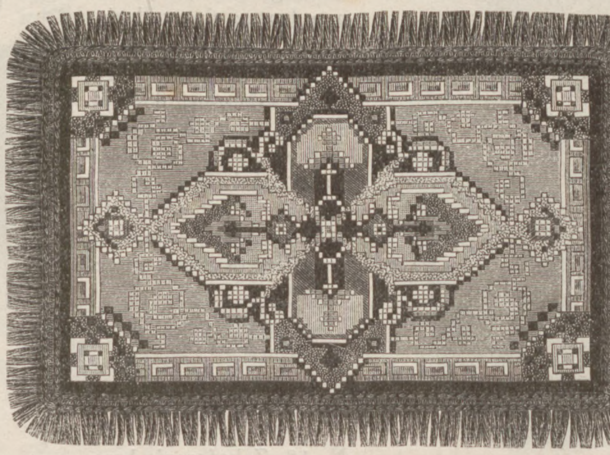
N. 52. Pas robiony na drutach do ryc. 51.



N. 55. Dywanik przed łóżko dla lalki. Patrz ryc. 56.



N. 59. Taboret do pokoju lalki. Patrz ryc. 11 w N. 3.



N. 57. Dywanik do pokoju lalki. Robota krzyżowa patrz ryc. 21 w N. 3.



N. 60. Krzesło do pokoju dla lalki, patrz ryc. 61.